Ossolineum
Biblioteka

Nr. 50 (92) DZIŚ DODATEK OXFORDZKI CENA (PRICE) 9d.

Wiadomości Polskie

THE POLISH NEWS WEEKLY

POLITYCZNE I LITERACKIE TYGODNIK

ROK II — NR. 50 (92) — LONDYN
NIEDZIELA 14 GRUDNIA 1941

W NUMERZE:

Aleksander Boray: Wizerunek walczących Niemiec. — **Zygmunt Nowakowski:** Wieczory pod lipą. Krótka historja dla młodzieży angielskiej. Sześć palców — i co z tego wyniknęło.—Dodatek oxfordzki. **Florjan Sokołów:** Oxford i Cambridge. **Zbigniew Grabowski:** Pokłon Oxfordowi. Miscellanea oxfordzkie. — **Juljusz Łukasiewicz:** Uwagi o polityce ukraińskiej Marszałka Piłsudskiego. — **Alfa:** Rozmaitości. — Europa pod panowaniem Hitlera. — Camera obscura. — Czytelnicy o „Wiadomościach Polskich". —Korespondencja.

REDAKCJA
229/231, HIGH HOLBORN, LONDON, W.C.1
Telefon: CHAncery 6128
ADMINISTRACJA
9, NEW OXFORD ST., LONDON, W.C.1
Telefon: HOLborn 0868
PRENUMERATA
kwartalnie
w Anglji .. .. .. 9s. 9d.
w innych krajach $2.25

Prosimy o przekazywanie należności za prenumeratę czekiem lub „Postal Order" na zlecenie:
M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

Ogłoszenia przyjmuja Advertising Offices The Berry Co. Grand Buildings, Trafalgar Sq., W.C.2, tel. ABBEY 5108

ALEKSANDER BORAY

WIZERUNEK WALCZĄCYCH NIEMIEC

Książek o Niemczech i o narodowym socjaliźmie mamy wiele. Mało jest natomiast do tej pory świadectw autentycznych, jak wygląda obecna wojna widziana z Berlina. Fakt ten sprawia, że „Notatnik berliński" Williama L. Shirera*) stanowi dokument szczególnie cenny. Autor, amerykański komentator radjowy, obsługujący z Berlina przez szereg lat „Columbia Broadcasting System", jest obserwatorem bystrym, objektywnym, inteligentnym. Jego notatnik zawiera fakty widziane i słyszane, zanotowane na gorąco, bez retuszu, bez upiększeń.

Czytelnik polski, który szukać będzie uwag czy rewelacyj przedewszystkiem na tematy polskie, narażony jest na pewien zawód. W tej dziedzinie Shirer ma niewiele do powiedzenia. Raz jeszcze możemy się przekonać, jak Polska przed wojną była obca i daleka dla Ameryki. Shirer przybył do Berlina w lecie 1934, r. lecz do lata 1939 r. — w ciągu pięciu lat — raz tylko zanotuje dwa wiersze o Polsce. Ignoruje takie fakty, jak zawarcie polsko-niemieckiego paktu o nieagresji czy śmierć Piłsudskiego. Właściwie uświadomi sobie, że Polska istnieje dopiero wtedy, gdy — nazajutrz po ogłoszeniu przez Chamberlaina gwarancji dla Polski — wysyłają go do Warszawy. Nie jest w stanie zrozumieć, że Polska nie chciała się wiązać z żadnym z sąsiadów. „W ciągu ostatniego tygodnia — notuje pod datą 6 kwietnia — jadłem i piłem z tuzinem Polaków z ministerstwa spraw zagranicznych, z armji czy spośród dawnych legjonistów, którzy kierują Polskiem Radjem — nie rozumieją oni, że nie mogą pozwolić sobie na luksus aby być nieprzyjacielem zarówno Niemiec jak Rosji i że muszą wybrać. Sięgają po jeszcze jeden kawałek wspaniałego łososia wiślanego, zapijają go jednym z 57 gatunków wódki i wskazują na niebezpieczeństwo pomocy rosyjskiej. Pewnie, że jest niebezpieczeństwo. Jest niebezpieczeństwo że czerwona armja, gdy raz się znajdzie na ziemiach polskich, nie ustąpi już z nich, że zbolszewizuje kraj i t.d. To wszystko prawda. „Ale w takim razie zróbcie pokój z hitlerowcami. Oddajcie im Gdańsk i korytarz". „Nigdy!" — odpowiadają".

Także na temat kampanji wrześniowej Shirer ma stosunkowo niewiele do powiedzenia. Naprawdę rewelacyjny jest tylko zapisek z Gdańska dn. 20 września. Opisując mowę Hitlera i jego „pełen histerycznej wściekłości wyraz twarzy", Shirer dodaje: „Później jeden ze znajomych hitlerowców zwierzył mi się, że „stary" był niesłychanie rozwścieczony, ponieważ spodziewał się wygłosić dzisiejszą mowę w Warszawie. Trzy czy cztery dni czekał — na zewnątrz stolicy Polski, płonąc niecierpliwością, by wejść do niej jako zwycięski cezar i wygłosić mowę zwycięstwa. Gdy jednak oblężeni Polacy odmówili poddania się i dzień po dniu stawiali zacięty opór, jego cierpliwość trzasła, i popędził aby wygłosić swą mowę do Gdańska. Musiał mówić!".

Po kampanji wrześniowej Shirer, w przeciwieństwie do innych dziennikarzy zagranicznych, nie był już w Polsce i niebawem prawie zupełnie o niej zapomni. Przypomni sobie Polskę, analizując przyczyny klęski Francji. Podkreśli wówczas zadziwiający fakt, że dowództwo aljanckie okazało się niezdolne zrozumieć lekcji, jaką była kampanja polska, i złoży hołd oporowi polskiemu, stwierdzając, że generałowie aljanccy „prawdopodobnie wysoce niedoceniali walki, jaką stoczyła armja polska".

Jedyne więc co na temat wojny polsko-niemieckiej zasługuje w „Notatniku berlińskim" naprawdę na uwagę, to uwagi o nastrojach niemieckich. W tej dziedzinie książka Shirera jest bezcenna.

Ukazuje on nam w całej nagości prawdę o „moral" Niemiec. Maluje obraz wewnętrznych sprzeczności, typowego dla Niemiec rozdwojenia psychicznego, naiwności i łatwowierności, niesamowitej zdolności do łykania wszelkich kłamstw oficjalnej propagandy, absolutnej, wręcz murzyńskiej niezdolności do zrozumienia stanowiska drugiej strony.

Masy niemieckie z jednej strony nie chcą wojny, z drugiej — nie są w stanie uznać, że polityka niemiecka jest tej wojny przyczyną. Marzą o pokoju, ale nie przyjdzie im na myśl, że trzeba poczynić najmniejsze choćby ustępstwa na rzecz punktu widzenia drugiej strony.

Już przed wojną notuje Shirer, że naród nie chce wojny. Jeszcze dn. 31 sierpnia rano pisze: „Wszyscy są przeciw wojnie. Ludzie mówią o tem całkiem otwarcie. Jak może kraj iść do wielkiej wojny, gdy naród tak jest jej zdecydowanie przeciwny?". A jednak w trzy tygodnie później musi zanotować: „Wciąż jeszcze nie znajduję ani jednego Niemca, nawet wśród przeciwników régime'u, któryby widział cokolwiek złego w zniszczeniu przez Niemcy Polski. Wszelkie kryterja moralne, według których świat zewnętrzny ocenia napaść na Polskę, nie znajdują tu echa". Tegoż dnia 20 września, kiedy „wszyscy Niemcy są święcie przekonani, że pokój nastąpi w ciągu miesiąca", Shirer notuje jeszcze: „Gdy powiedziałem niektórym z nich, że najwłaściwsza pora, by pragnąć pokoju, była trzy tygodnie temu, nim Hitler zaatakował Polskę, i że, być może, Wielka Brytanja i Francja teraz pokoju nie zawrą, patrzyli na mnie jak na warjata".

Spotkało wówczas Niemców rozczarowanie, nie pierwsze i nie ostatnie. Wciąż nanowo czepiają się nadziei na pokój. W październiku 1939 r. radjo berlińskie doniosło że rząd brytyjski padł i że bezzwłocznie nastąpi zawieszenie broni. Wiadomość wywołała w Berlinie szał radości. „Tłuste, stare baby z targu warzywnego rzucały w górę główkami kapusty, w radości zdemolowały własne stragany i popędziły do najbliższego baru oblać sznapsem pokój. Przebudzenie się Berlina tego popołudnia, gdy radjo zaprzeczyło pogłosce, było, jak się zdaje, czemś przeraźliwem".

Największe bodaj rozczarowanie spotyka Niemców w lecie 1940 r. Niespełnione na jesieni 1939 r. nadzieje pokojowe odżywają nanowo po klęsce Francji. Teraz, gdy Francja skapitulowała, Anglicy chyba zrezygnują z dalszej wojny — myślą Niemcy. Toteż zdumienie ich nie ma granic, gdy Londyn odrzuca „ofertę pokojową" Hitlera z dn. 19 lipca. Shirer opisuje jak oficerowie z naczelnego dowództwa oraz urzędnicy z różnych ministerstw, gdy B.B.C. nadawał komentarz brytyjski, „nie chcieli wierzyć własnym uszom. Jeden z nich krzyknął do mnie: „Czy może pan to wytłumaczyć? Czy jest pan w stanie zrozumieć tych brytyjskich szaleńców? Teraz odrzucić pokój?".

Byłoby jednak zgoła fałszywe opierać jakiekolwiek kalkulacje na tych niemieckich nadziejach na pokój, czy na notowanem przez Shirera niejednokrotnie zmęczeniu wojną. Marzenia o tem by się wojna skończyła, nie nasuwają nawet myśli o buncie przeciw polityce Hitlera, która wojnę wywołała. Gdy zrodzona z jednego zwycięstwa, nadzieja na pokój pryska, jak to było raz na jesieni 1939 r., a drugi raz w lecie 1940 r., nowe nadzieje wiążą Niemcy z następnem zwycięstwem.

W tym czasie wiara w zwycięstwo była niezachwiana. Upojeni dotychczasowem powodzeniem Niemcy byli przekonani, że równie łatwo uporają się z Wielką Brytanją. Już w ostatnim tygodniu maja Shirer zakłada się z urzędnikami niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych, którzy twierdzą, że dn. 15 czerwca Niemcy będą w Londynie. Później przyjmuje jeszcze inne zakłady tego rodzaju, jeden na 15 sierpnia, drugi na 7 września.

Optymizm, wiara w szybkie zwycięstwo i pokój szła z góry. U góry też zaczynała się absolutna niezdolność do zrozumienia stanowiska drugiej strony, całkowita nieznajomość psychologji przeciwnika. Ta narodowa wada Niemców nie ominęła Hitlera, i można z tego tylko się cieszyć, gdyż temu właśnie przypisać należy jak to słusznie robi Shirer — największy błąd popełniony przez Führera.

Dlaczego Hitler nie uderzył na Wielką Brytanję natychmiast po katastrofie Francji, gdy nimb niezwyciężoności otaczał zarówno jego jak armję, gdy na wybrzeżach Dunkierki pozostał drogocenny sprzęt brytyjski i gdy Anglicy byli pozbawieni wyekwipowanej armji? Shirer dochodzi do wniosku, że „od Hitlera wyszło hasło, iż choć trzeba szybko i gruntownie przygotować najazd na Wielką Brytanję, to jednak nie będzie on potrzebny. Churchill zgodzi się na pokój. Jestem przekonany że Hitler był tego pewny. I ta jego pewność opóźniła i osłabiła przygotowania do najazdu". „Możliwe jest — pisze dalej Shirer — że Hitler czekał aby Churchill zrobił pierwszy krok. Czyżby Anglik nie zdawał sobie sprawy, że jest pobity? Hitler zamierzał być cierpliwy i czekać aż tępa głowa brytyjska uświadomi to sobie".

Ale tępa okazała się nie brytyjska, lecz niemiecka głowa. Hitler, który nie wierzył że Anglicy pójdą na wojnę w obronie Polski, który następnie był pewny że zawrze pokój po zniszczeniu Polski, wciąż jeszcze nie rozumiał Brytyjczyków. Czekał miesiąc, a gdy Churchill nie uczynił pierwszego kroku, zdecydował się sam wystąpić raz jeszcze z ofertą pokojową. Odmowa — szybka i niedwuznaczna — zaskoczyła go. Tak samo nie mógł zrozumieć „tych brytyjskich szaleńców", jak wyżej cytowani oficerowie niemieccy.

Ostateczna decyzja podjęcia próby najazdu zapadła na wielkiej naradzie wojennej u Hitlera dn. 5 sierpnia. Plan inwazyjny był „ostrożny i klasyczny. Wielką ofensywę powietrzną przeciw R.A.F. owi miano podjąć około 13 sierpnia. Do dn. 1 września R.A.F. miał być zniszczony. Wówczas nastąpiłby najazd. Główne siły przeprawiłyby się przez Kanał na barkach, pontonach i małych łodziach. Inne statki, chronione przez samoloty, przeprowadziłyby desanty w Szkocji, lecz byłaby to operacja drugorzędna, zależna od akcji floty brytyjskiej. Jeszcze inna niewielka ekspedycja z Brestu zajęłaby Irlandję. Wreszcie przeprowadzonoby oczywiście na wielką skalę desant z powietrza".

Cały ten plan, rzecz jasna, należał od zniszczenia R.A.F.u. Shirer parokrotnie stwierdza, iż Göring i jego otoczenie było przekonane, mając czterokrotną przewagę liczbową, że „Luftwaffe" zniszczy R.A.F. w dwa tygodnie. Gdy ta kalkulacja zawiodła z kretesem, los całego planu został przesądzony.

W połowie września, w okresie szczytowym przygotowań inwazyjnych, Shirer jest świadkiem wielkiego napływu rannych w Berlinie. „Zaczyna to być interesujące — notuje 19 września. — Jedynie podczas dwu tygodni września 1939 r. i w ciągu miesiąca na wiosnę widzieliśmy w Berlinie tyle pociągów sanitarnych". Dowiaduje się też, że wśród rannych jest wielu poparzonych.

Dopiero jednak w kilka tygodni później formuluje swe wnioski. Nie wierzy w pogłoski, według których Niemcy próbowali najazdu. Sądzi natomiast że na początku września odbyły się wielkie ćwiczenia inwazyjne. Statki i barki wypłynęły na morze, gdy nagle nastąpiła zmiana pogody; lekkie siły brytyjskie i samoloty zaatakowały Niemców, podobno liczne barki i zadały liczne straty. tłumaczyłaby się duża ilość poparzonych.

Szukając w zapiskach Shirera uwag na temat psychiki walczących Niemiec, nie można przejść do porządku dziennego nad makabryczną anegdotą, ilustrującą, do jakiego stopnia wyzucia z najbardziej elementarnych uczuć ludzkich doszli współcześni Niemcy. Pod datą 4 lutego 1940 r. Shirer notuje:

„Słuchanie radja zagranicznego jest w Niemczech surowo karane. W tych dniach matka pewnego lotnika niemieckiego otrzymała oficjalne zawiadomienie, że jej syn zaginął i że należy przypuszczać, iż nie żyje. W parę dni później B.B.C. londyńskie, wymieniając jeńców niemieckich, podało, że jej syn jest w niewoli. Nazajutrz kobieta otrzymała 8 listów od przyjaciół i znajomych, którzy zawiadamiali ją, iż słyszeli, że jej syn jest zdrów i że przebywa w niewoli angielskiej. Matka zadenuncjowała wszystkich ośmiu policji za słuchanie radja brytyjskiego; zostali oni aresztowani".

Gdy Shirer chciał opowiedzieć o tym wypadku w swym reportażu radjowym, cenzor zakazał mu tego, oświadczając że „opinja amerykańska mogłaby nie zrozumieć bohaterstwa tej kobiety, która zadenuncjowała swych 8 przyjaciół"...

Oczywiście, nie należy niczego uogólniać. Zaraz potem Shirer notuje inną historyjkę z tej samem dziedziny, tym razem o charakterze groteski — wymarzony temat komedji filmowej: „Rodzice oficera łodzi podwodnej zostali oficjalnie zawiadomieni o śmierci syna. Zamówili nabożeństwo żałobne. W dniu nabożeństwa rano zjawił się rzeźnik i poprosił o parę słów rozmowy z panem domu na osobności. Następnie przyszedł kupiec kolonjalny. Wreszcie nadchodzili coraz to inni przyjaciele: wszyscy oni słyszeli w B.B.C. nazwisko syna wśród nazwisk jeńców z łodzi podwodnej. Jakże jednak odwołać nabożeństwo, nie dając policji do poznania, że ktoś z przyjaciół rodziny słuchał zagranicznego radja? Gdyby rodzice nie udzielili informacji, mogliby sami zostać aresztowani. Odbyła się tedy narada rodzinna, która zdecydowała, że nabożeństwo musi się odbyć. Po nabożeństwie całe żałobne towarzystwo zebrało się w domu rodziców; ci, którzy nie znali jeszcze prawdy, zostali w nią wtajemniczeni, i fakt oblano szampanem".

Trzeba być przygotowanym na wszystko w kraju, w krórym są możliwe takie akty „bohaterstwa" — w tym samym kraju, gdzie władze z zimną krwią wymordowały dziesiątki tysięcy chorych umysłowo, a czasem nawet tylko cierpiących na rostrój nerwowy własnych obywateli. Opowiadanie Shirera o tych systematycznych „mordach z litości" należy do najbardziej wstrząsających w jego zapiskach. Odsłania nam ono najbardziej bezwzględne, okrutne, nieludzkie oblicze dzisiejszych Niemiec. Shirer podaje następujące możliwe powody tych mordów, których ogólną liczbę pewien wiarogodny i ostrożny Niemiec podał mu na jesieni ub. r. na 100 000: 1) chęć oszczędzenia żywności; 2) wypróbowanie na umysłowo chorych nowych gazów lub promieni śmierci; 3) realizacja eugenicznych i socjologicznych idei narodowego socjalizmu; 4) chęć zwolnienia tysięcy Niemców, dotąd obsługujących szpitale i przytułki dla umysłowo chorych, do bardziej pożytecznych zajęć, jak również opróżnienie szpitali i sanatorjów dla przyszłych rannych.

Shirer stwierdza, że „moral" armji niemieckiej jest „fantastycznie dobry". Ale zapisek dotyczący armji pochodzi z lata 1940 r. — z okresu największych i stosunkowo łatwych powodzeń. Zapisek dotyczący społeczeństwa oświetla nastroje u progu drugiej zimy wojennej. Nie będzie więc chyba braniem życzeń za rzeczywistość, jeśli się przyjmie, że nastroje zarówno armji jak i społeczeństwa musiały pogorszyć się w ciągu roku, który od tego czasu upłynął.

Nie odbiera to jednak wartości ciekawej analizie czynników, które według Shirera kształtują „moral" niemiecki.

Jeśli chodzi o armję, „moral" jest wynikiem atmosfery koleżeństwa. „Stary pruski marszowy krok, trzaskanie obcasami, czy „Jawohl" szeregowego, gdy odpowiada oficerowi, istnieją nadal. Ale zniknęła wielka przepaść między oficerem a żołnierzem. Przyszło jak gdyby zrównanie. Oficer niemiecki przestał reprezentować — a przynajmniej być świadomym, że reprezentuje — klasę czy kastę. Żołnierze wyczuwają to i czują się jak gdyby wielką rodziną. Nawet salutowanie nabrało nowego charakteru. Szeregowi salutują siebie nawzajem, czyniąc z tego gestu raczej koleżeńskie pozdrowienie, niż uznanie wyższego stopnia. W kawiarniach, restauracjach, wagonach restauracyjnych, oficerowie i żołnierze poza służbą siedzą przy tym samym stole. Jest to nie do pomyślenia podczas poprzedniej wojny i zapewne nie jest rzeczą codzienną w armjach zachodnich, nie wyłączając naszej (amerykańskiej). W polu oficerowie i szeregowi jedzą zazwyczaj z tego samego kotła. W Compiègne jadłem obiad z młodym kapitanem, który stał w ogonku razem ze swymi ludźmi, aby zafasować prowiant".

Jeśli chodzi o społeczeństwo, Shirer już na odjezdnem, dn. 1 grudnia 1940., stwierdza, że choć niema entuzjazmu dla wojny, choć naród jest rozczarowany i przygnębiony iż pokój nie został zawarty przed końcem tego roku, jak mu to obiecywano, to jednak „moral" jest całkiem dobry. Sprzeczność tę tłumaczy Shirer trzema czynnikami:

„Po pierwsze, tysiącletnia tęsknota Niemców do zjednoczenia politycznego została urzeczywistniona. Niemcy czują się teraz silni, a dla większości Niemców jest to cel sam w sobie. Jest to potrzeba wypływająca z prymitywnych instynktów plemiennych dawnych niemieckich pogan z rozległych lasów północy, dla których brutalna siła była nie tylko środkiem, lecz celem życia...

„Po drugie, Niemcy czują, że tego lata pomścili straszliwą klęskę 1918 r. i odnieśli serję zwycięstw wojennych, które wreszcie zapewnią im miejsce pod słońcem, dziś — panowanie nad Europą, jutro — może nad resztą świata... Niemiec albo musi rządzić, albo być rządzonym. Nie uznaje on innych stosunków między mieszkańcami tej planety... Co więcej, wielkie masy robotników, chłopów, drobnych kupców — podobnie jak wielcy przemysłowcy — zdają sobie sprawę że tryumf „nowego ładu" Hitlera oznacza więcej mleka i miodu tej ziemi dla nich. A że może to być osiągnięte jedynie kosztem innych narodów, — Czechów, Polaków, Skandynawów, Francuzów, — to w najmniejszym nawet stopniu nie przejmuje Niemca. Nie ma ona w tej dziedzinie absolutnie żadnych skrupułów".

„Po trzecie, jedną z głównych sprężyn, pchających naród niemiecki do pełnego popierania tej wojny, która nie wzbudza w nim entuzjazmu i którą, gdyby mógł, zakończyłby jutro, jest rosnący lęk przed konsekwencjami klęski. Powoli lecz jasno zaczynają sobie Niemcy zdawać sprawę z przerażającego posiewu nienawiści, jaki dokonały w Europie ich wojska i Gestapo. Zaczynają oni rozumieć, że zwycięstwo pod sztandarami régime'u hitlerowskiego, choćby niewiedzieć jak wielu spośród nich może go nie znosić, jest zawsze lepsze, niż nowa klęska, przy której Wersal będzie się wydawał sielanką i która oznaczać będzie nie tylko zniszczenie państwa, lecz i narodu niemieckiego, jako takiego. Niejeden Niemiec zwierzał mi się w ostatnich czasach ze swych obaw. Niemcy wyobrażają już sobie jak w razie ich klęski, rozjątrzone narody Europy, z których tak brutalnie uczynili niewolników, których miasta z taką bezwzględnością zniszczyli, których kobiety i dzieci w takich miastach, jak Warszawa, Rotterdam czy Londyn z zimną krwią mordowali, szturmować będą, nakształt rozwścieczonych, pałających zemstą hord, ich piękny kraj, niszcząc go całkowicie i pozostawiając tych, których nie wyrżną, na śmierć głodową wśród ruin i zgliszcz".

Zacytowaliśmy obszerniej tę „pożegnalną" analizę nastrojów niemieckich, gdyż wydaje się jedną z najbardziej zasługujących na uwagę fragmentów książki. Jest ona dla Shirera motywacją poglądu, że „naród niemiecki pójdzie daleko bardzo daleko na drodze tej wojny". I wniosek ten, choć nieprzyjemny dla wszystkich „wishful thinker", wyobrażających sobie bliskie załamanie się Niemiec, wydaje się trafny.

Naród, który odmalowuje nam Shirer, nie jest narodem zdrowym, odpornym na przeciwności losu, świadomym swych celów. Znamienne, choć nierewelacyjne, są notatki na temat efektu bombardowań. Jak wielu innych obserwatorów, Shirer stwierdza, że Niemcy nie wytrzymują ich psychicznie.

Odmalowana przez Shirera psychika Niemców, to psychika małych złoczyńców. Niemcy marzą o pokoju, jak człowiek, który się nakradł, marzy by go policja pozostawiła w spokoju. A jednocześnie drży ze strachu przed karą. Pod pancerzem fanatyzmu, bezwzględności i okrucieństwa kryje się trwoga. Wygrywać tę trwogę — zarówno bombami jak propagandą, doprowadzić do tego, by strach, zamiast być podnietą, stał się czynnikiem paraliżującym zdolność do walki i siejącym wewnętrzne rozbicie w Niemczech — oto jedno z głównych zadań sprzymierzonych.

Waga książki Shirera jako dokumentu polega na tem właśnie, że pokazuje zarówno siłę Niemiec jak i ich słabość. A zarazem — między wierszami — poucza, jak złamać tę siłę i jak wyzyskać tę słabość.

ALEKSANDER BORAY.

*

Oto ważniejsze, poza już cytowanemi, zapiski Shirera na tematy polskie:

Berlin, 16 marca 1935.

Co zrobi Londyn i Paryż (wobec wprowadzenia obowiązkowej służby wojskowej w Niemczech)? Mogłyby rozpocząć „wojnę prewencyjną". Byłby to koniec Hitlera. Tutejsi Polacy mówią, że Piłsudski gotów jest współdziałać. Lecz pierwsze reakcje — przynajmniej według tego co donosi nasze biuro paryskie—wcale na wojnę nie wskazują.

Warszawa, 2 kwietnia 1939.

Widziałem dziś godny politowania pokaz lotniczy. Znajomi Polacy wyrażali ubolewanie spowodu niezgrabnych, powolnych bombowców i równie przestarzałych dwupłatowych myśliwców. Pokazali pół tuzina nowoczesnych myśliwców, które wydawały się dostatecznie szybkie, ale to wszystko. Jak Polska, mając takie lotnictwo, może walczyć z Niemcami?

Berlin, 9 sierpnia 1939.

Duże wrażenie robi opis Joe Barnesa (z „New York Herald Tribune") zacofania Polaków. Wraz z Mauricem Hindusem zwiedzał wsie. Opowiada, że tylko dwa miljony ludzi w Polsce czyta gazety, a jest wiele wsi, w których niema ani jednego radjoodbiornika.

Warszawa, 20 sierpnia 1939.

Polacy są spokojni i pewni siebie, szyderstwa Berlina i potworna kampanja kłamstw Goebbelsa nie robi na nich wrażenia. Lecz są oni zbyt romantyczni, zbyt pewni siebie. Zadaje im się pytanie na temat Rosji, — zadałem je w ostatnim tygodniu wielu przedstawicielom ministerstwa spraw zagranicznych i armji, — a oni wzruszają ramionami. Rosja nie liczy się dla nich. A powinna się liczyć. Sądzę, że Polacy będą walczyli. Omyliłem się pod tym względem rok temu, gdy chodziło o Czechów, ale powtarzam to gdy chodzi o Polaków. W naszej ambasadzie zdania są podzielone. Większość sądzi, że Polska dobrze się spisze. Nasz attaché wojskowy uważa że Polska pozostawiona sama sobie, może bronić się przez pół roku. Harrison natomiast twierdzi że kraj się załamie. Mjr. Elliot (znany amerykański pisarz wojskowy), który jest tutaj, myśli że armja polska jest całkiem dobra, ale niedostatecznie uzbrojona, i że nie zdaje sobie w pełni sprawy ze swej okropnej pozycji strategicznej.

Berlin, 29 sierpnia 1939.

Pewien Niemiec powiedział mi wczoraj wieczorem: „Korytarz? Do djabła, nie słyszelismy o tem od dwudziestu lat. Poco to teraz wyciągać?".

Berlin, 1 września 1939.

Ciekawe, że ani jeden polski bombowiec nie pojawił się dziś wieczorem.

Berlin, 2 września 1939.

Niema dziś nalotu. Gdzie są Polacy?

Berlin, 8 września 1939.

Niemieckie dowództwo naczelne ogłasza że o godz. 17.15 wojska niemieckie dotarły do Warszawy.

Berlin, 9 września 1939.

Niema dalszych wiadomości o wejściu armji niemieckiej do Warszawy, i podejrzewam, że wczorajszy komunikat był przedwczesny. O.W., który powrócił z frontu, opowiadał mi dziś, że widział straszliwie zmasakrowane ciała Niemców, zabitych przez Polaków. Mówi też, że był świadkiem aresztowania przez Niemców polskich cywilów, — mężczyzn, kobiet i chłopców, — prowadzenia ich do jakiegoś budynku przed sąd wojenny i następnie na podwórze, gdzie rozstrzelał ich niemiecki pluton egzekucyjny.

Berlin, 11 września 1939.

Klasyczny nagłówek dziś wieczorem w „D.A.Z.": „Polacy bombardują Warszawę". Prasa pełna fantastycznych kłamstw.

Berlin, 14 września 1939.

Służąca weszła do pokoju, by stwierdzić, że wojna jest okropna.

— Dlaczego Francuzi wojują z nami? — zapytała.

— A dlaczego wy wojujecie z Polakami? — odrzekłem.

— Hm — rzekła, a jej twarz była bez wyrazu. — Ale przecież Francuzi to ludzkie istoty — rzekła wkońcu.

— Ale Polacy może też są ludzkiemi istotami — powiedziałem.

— Hm — mruknęła, znów z niewyraźną miną.

Gdańsk, 19–20 września 1939.

Widziałem dziś prawdziwą bitwę, jedną z ostatnich, z kampanji polskiej, która właściwie jest tak dobrze jak skończona.

Staliśmy na Kamiennej Górze w środku miasta Gdyni pod wielkim — co za ironja! — krzyżem. Był to niemiecki punkt obserwacyjny. Ponad dachami nowoczesnych budynków tego wzorowego, nowego miasta, które było nadzieją Polski, śledziliśmy walkę, która toczyła się o dwie mile na północ. Obudziła nas ona dziś rano w hotelu w Sopotach. O godz. 6 zatrzęsły się okna w mym pokoju. To ponad naszemi głowami pancernik „Schleswig-Holstein", zakotwiczony w Gdańsku, strzelał ze swych 11-calowych dział. A teraz widzimy że Niemcy otoczyli Polaków z trzech stron, podczas gdy morze, z którego waliły do nich niemieckie kontrtorpedowce, odcinało ich z czwartej. Niemcy używali wszelkiej broni, wielkich dział, małych dział, czołgów, samolotów. Polacy mieli tylko karabiny maszynowe, karabiny i dwa działka przeciwlotnicze, których usiłowali użyć jako artylerji przeciw niemieckim gniazdom karabinów maszynowych i czołgom... Polacy bronili się nie tylko z okopów i — spoza kępek zarośli, lecz przekształcili również wszystkie posiadane domy w gniazda karabinów maszynowych. Przekształcili dwa duże budynki — szkołę morską i radjostację — w fortece i strzelali z karabinów maszynowych ze wszystkich okien. Po upływie pół godziny pocisk niemiecki trafił w dach szkoły i zapalił go. Teraz piechota niemiecka, wspierana, albo — jak się wydawało przez lornetki—prowadzona przez czołgi, uderzyła na wzgórze i otoczyła budynek. Lecz nie wzięła go. Polacy nadal ostrzeliwali ją z piwnic płonącego budynku. Byli oni naprawdę desperacko dzielni. Wodnopłatowiec niemiecki krążył nad wzgórzem jako obserwator dla artylerji. Potem przyłączył się bombowiec i z lotu nurkowego ostrzeliwał linje polskie z karabinów maszynowych. Wreszcie pojawił się dywizjon bombowców.

Była to dla Polaków sytuacja beznadziejna. A jednak walczyli dalej. Towarzyszący nam oficerowie niemieccy ciągle wychwalali ich odwagę. Pod nami, na ulicach Gdyni, kobiety i dzieci w ponurem milczeniu obserwowały nierówną walkę. Przed niektóremi budynkami stały długie ogonki Polaków, czekających na żywność. Przed wejściem na górę zauważyłem jak straszna gorycz malowała się na ich twarzach, zwłaszcza na twarzach kobiet.

Obserwowaliśmy bitwę do południa. W tym czasie Niemcy posunęli się o jakie ćwierć mili...

Gdy odchodziliśmy, zapytałem jednego z oficerów o artylerję polską.

— Nie mieli tu żadnej — odpowiedział. — Gdyby mieli choć jedną 75-kę, mogliby nas wszystkich wybić. Jesteśmy oddaleni tylko o dwie mile, i byłby to naturalny cel.

Berlin, 20 września 1939.

Po rzucie oka na front, jasne jest, co się przytrafiło Polakom... Przeciwstawili oni całkiem dobrą armję modelu z czasów wojny światowej—zmotoryzowanej, pancernej armji modelu 1939... Polskie naczelne dowództwo coprawda jak gdyby zupełnie nie zdawało sobie sprawy z czem ma do czynienia. Nawet dla nas, strategów-amatorów, jest zagadką dlaczego trzymało ono najlepszą armję dokoła Poznania na początku, nie mówiąc już o chwili, gdy Niemcy zaszli za Warszawę. Gdyby Polacy w pierwszym tygodniu wojny wycofali się za Wisłę, mogliby może wytrzymać do zimy, kiedy śnieg i błoto zahamowałyby Niemców.

Berlin, 2 października 1939.

W sobotę zjawił się nagle A. wraz z młodą Amerykanką, którą poznał w Warszawie. Wędrowali przez trzy tygodnie przez wschodnią Polskę... A., który nigdy nie lubił Polaków i raczej sympatyzował z hitlerowcami, opowiada, że całe wsie we wschodniej Polsce, jak najbardziej dalekie od kolei, szos i dróg bitych, pozbawione jakiegokolwiek znaczenia wojskowego, zostały zniszczone przez „Luftwaffe" dla powodów, których nie jest w stanie zrozumieć. Mówi, że samoloty niemieckie często nurkowały na samotne chłopki w polu i zrzucały bomby lub ostrzeliwały je z karabinów maszynowych. Sam widział zwłoki.

*) *William L. Shirer.* Berlin Diary. The Journal of a Foreign Correspondent 1934—1941. Londyn, Hamish Hamilton, (1941); str. 491 i 1ml.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

WIECZORY POD LIPĄ (BRYTYJSKĄ)

Krótka historja Polski dla młodzieży angielskiej

SZEŚĆ PALCÓW I — CO Z TEGO WYNIKNĘŁO*)

Nowość! *Nowość!*

BITWA NAD WYSPAMI BRYTYJSKIEMI

Sprawozdanie Ministerstwa Lotnictwa z historycznych dni od 8 sierpnia—30 września 1940 r.

cena **6d.**

do nabycia w księgarniach M. I. KOLIN (Publishers) LTD.
LONDON: 9, Oxford Street, W.C.I. PERTH: 28, King Edward Street.
DUNDEE: 24a, Cowgate. BLACKPOOL: 40, Lytham Road.

ŚPIEW SŁOWIKÓW

Jak ten czas leci, o, Ladies and Gentleman! Już siódmy wieczór skolei spędzamy pod konarami rozłożystej lipy! Gdy zacząłem moje opowiadanie, lipa stała bez liści, i mroźny wiatr szumiał w jej suchych gałęziach, dzisiaj zaś lipa nasza jest zielona zielonością wiosny i zielonością nadziei. Chwila jeszcze a zakwitnie, miodem nam zapachnie! Chwila jeszcze a pszczoły słupem zawisną nad nią i zaśpiewają nam pieśń upalnego lipca!

Jednakże ja chwilowo mówię nie o śpiewie pszczół, ale o pieśni słowików. Stary król Jagiełło napanował się dość w swem długiem życiu i umarł właściwie spowodu... słowików. Parole d'honneur! To dziwne ale prawdziwe! Zaziębił się słuchając ich śpiewu. Naogół podanie utrzymuje, że słuchał ich w lesie, mnie jednak wydaje się, że raczej siedział pod lipą starą i pachnącą, a podobną do naszej, w której cieniu zielonym uczymy się historji Polski. Król, syt życia, odpłynął w wieczność, bo śmierć nie oszczędza także i królów. Pamiętacie, jak to mówi Horacy, którego my, w Polsce, kuliśmy napamięć, mając lat szesnaście, a którego wy pewnie lepiej niż my znać musicie:

...scilicet omnibus,
Quicumque terrae munere vescimur,
Enaviganda, sive reges
Sive inopes erimus coloni...

No, tak! My teraz jesteśmy „inopes", czyli biedacy, a król nasz, Jagiełło, umarł poprostu na zapalenie płuc. Słowiki temu winne, choć nie może pomieścić się nam w głowie, by słowiki były zdolne kogoś wpędzić do grobu. Nigdy w życiu nie posądziłbym ich o to.

Ale król, zwycięzca spod Grunwaldu, miał śmierć, której pozazdrościć mógłby mu niejeden monarcha: słowiki kołysały go do snu wiecznego... I o czemże dumał, słuchając ich zawodzeń a trelów kunsztownych i koloratury? Czy o krzyżakach? Nie sądzę. Raczej snuł może myśl tak słodką, jak słowicze bel canto, myśl o pierwszej żonie swej, o Jadwidze, która ledwie ziemi dotykała nie stopą lecz drobną „stópką". Ach, któż to dziś odgadnie!

JEDNAK POLSKA HISTORJA MOŻE ŁATWIEJSZA!

Hm, zaczynam teraz mieć pewne wątpliwości na temat, czyja historja trudniejsza, nasza czy wasza. Weźmy np. rzecz taką, jak numery porządkowe królów: u nas naj, ale to już najwyższy numer ma Władysław IV, potem idzie Jan III, August III, Zygmunt III, następnie zaś Stanisław zaledwie II, ale Aleksander był tylko jeden, jeden Stefan, jeden Michał, jeden Henryk, podczas gdy wy mieliście Henryka VIII, nie mówiąc o Janach, o Edwardach, Ryszardach i t.d. i t.d.

To już jest właściwie pewien handicap, zwłaszcza że np. Henryk VIII miał żon sześć, nasi zaś królowie zazwyczaj poprzestawali na jednej, i tylko Jagiełło stanowi w tej mierze wyjątek ze swemi czterema żonami. Oczywiście, choć początkowo poganin, miał te żony nie naraz, tylko pokolei. A wasz Henryk VIII miał sześć! I o każdej z nich musicie się uczyć! Co dziwniejsze, ja choć szósty zaczynam dźwigać krzyżyk, przecież z lat szkolnych pamiętam jeszcze te żony Henryka, jak pamięta imiona ich każdy jakotako wykształcony Polak, choć nie wymieniłby prawdopodobnie wszystkich żon Jagiełły.

Uprzedzając pytanie angielskiego czytelnika, zgóry i z ręką na sercu oświadczam, że Jagiełło ani jednej ale to ani jednej z żon nie skazał na śmierć, choć miałby pewne powody. Wszystkie zmarły naturalną śmiercią a nawet ostatnia przeżyła go. Może właśnie dlatego mówi się o nich tak mało a tak wiele o Annie Boleyn i Katarzynie Howard?

W każdym razie z przytoczonych szczegółów zdawałoby się wynikać, że przecież historja nasza jest pod pewnym względem łatwiejsza.

ANGLIK NA WAWELU

Czyśmy spotykali się w tych czasach? Owszem, wasi zaś łucznicy, Angliczanami albo zgoła Angielczykami zwani, słynęli u nas z celności i z doskonałości swej broni. Nazwisk ich nie utrwaliła historja, jednak z czasów Jagiełły znamy Anglika, który do Krakowa zjechał i w obecności starego króla stoczył wielką walkę, nie na miecze i nie na kopije, ale na słowa. Był to niejaki Piotr Payne, z Oxfordu rodem, człek uczony wielce, który na dworze królewskim w publicznej, gorącej dyspucie bronił zasad religji Husa przed katolikami polskimi. Było to w roku Pańskim 1431. Po jakiemu mówił na Wawelu? Chyba po łacinie, której znajomość szerzy się w Polsce średniowiecznej, aby w epoce odrodzenia stać się niemal drugim językiem każdego Polaka. Przecież doszło do tego, że cesarz niemiecki, Ferdynand, mógł dogadać się po łacinie z furmanem arcybiskupa gnieźnieńskiego!

Dysputa z r. 1431 otwiera drogę innym, które na cały świat rozsławiły tolerancję polską. Było ich niezmiernie wiele, pozostawiły zaś ślad wyraźny w postaci protokółów i relacyj. Najsłynniejsza z nich, piotrkowska, wywołała echo w Europie, głównie w Paryżu. Husa spalono żywcem na stosie w Konstancji, a w szesnaście lat później Anglik, Piotr Payne, bez obawy najmniejszej, iżby mu włos z głowy mógł spaść, bronił tegoż Husa w Krakowie. Potem, pewnie pierścieniem czy łańcuchem złotym obdarowany przez Jagiełłę, do Oxfordu bezpiecznie wrócił i o cudach krakowskiego zamku, zwłaszcza o słynnej kapeli królewskiej, dzieciom a wnukom opowiadał.

SZEŚĆ PALCÓW

Znowu gnębią mnie wątpliwości: w jednym z pierwszych rozdziałów napisałem trochę nieopatrznie, że każde dziecko w Polsce ma po pięć palców u każdej dłoni. Bynajmniej tego nie cofam, jednakże... E, lepiej powiedzieć odrazu całą prawdę, nie owijając niczego w bawełnę. Otóż, Władysław III, starszy syn Jagiełły, miał po sześć palców! Nie u dłoni coprawda, lecz u stóp, jednak miał i tego nie da się w żaden sposób zataić. To pewna, że spowodu owych sześciu palców powstały rozmaite kłopoty i zawikłania, o których jeszcze będzie mowa.

Zwycięstwo pod Grunwaldem przypadło mniejwięcej na czas, gdy Anglja zaczęła drugą rundę wojny stuletniej. Krzyżaków od ostatecznego knock-outu uratowała przewaga ściśle techniczna, którą Zakon górował nad połączonemi wojskami Polski i Litwy. Jagiełło nie wyzyskał klęski krzyżaków. Przeklęta przewaga techniczna! Bez artylerji oblężniczej, bez wyćwiczonej nowożytnie piechoty nie mógł zdobyć stolicy krzyżackiej, Malborga. Zamiast podyktować im pokój w tymże Malborgu, popełnił ten sam błąd, który popełnili sprzymierzeni w r. 1918, podobne zaś błędy mszczą się okrutnie. Jak zemścił się na Polsce połowiczny pokój toruński, zawarty w niespełna rok po bitwie grunwaldzkiej, tak na Anglji i Francji zemścił się traktat wersalski, podpisany w r. 1919. Chyba już po obecnej wojnie tego błędu nie powtórzymy! Tym razem pokój musi być nię tyle zawarty ile podyktowany w Berlinie. A właściwie na ruinach Berlina.

Gdy Jagiełło umiera, Władysław III jest jeszcze dzieckiem, i rządy sprawuje biskup Oleśnicki, którego błędna polityka pozwala krzyżakom złapać oddech. Zakon sam coprawda już nigdy nie wróci do dawnej potęgi, ale przeczeka zły czas, aby po latach, po wiekach, odrodzić się w innej, jeszcze groźniejszej postaci. Hohenzollernowie, którzy dokonali zjednoczenia Niemiec, są potomkami niedobitków krzyżackich spod Grunwaldu. Hitler, który dzisiaj sięga po władztwo nad całym światem, jest spadkobiercą niedobitków z wielkiej wojny.

Butę Zakonu przygniecie do resz[illegible] młodszy syn Jagiełły, Kazimierz, do ho[illegible] zaś zmusi ich i klęknąć każe na rynku krakowskim wnuk Jagiełły, Zygmunt I Stary, ale stało się to dopiero w sto lat zgórą po krwawej, świetnej wiktorji grunwaldzkiej. Oleśnicki był biskupem, czyli jak każdy biskup katolicki, służył dwu panom: Rzymowi i swej ojczyźnie, rządził zaś w czasie, gdy rodzić się zaczął wielki prąd, zmierzający do reformy kościoła, do wyrwania go spod wpływów i władzy papiestwa. Interesy kościoła katolickiego kazały Oleśnickiemu odwrócić uwagę od katolickich krzyżaków i te same interesy nie pozwoliły mu związać Polski z bratniemi lecz kacerskiemi Czechami, ojczyzną Husa, który dążył do unarodowienia kościoła czeskiego. Te same również względy sprawiły, że Oleśnicki doprowadził do koronacji młodego władcy Polski, Władysława, na króla Węgier, pośrednio pchając w ten sposób i nas do walki z nową potęgą, której na imię Turcja.

WRÓG-GENTLEMAN

Turcja będzie przez pewien czas wrogiem nr 1 naszego kraju. Ale jaki to wróg! Pełen honoru, spadkobierca rycerskiej tradycji średniowiecza, wróg, który dotrzymuje słowa, dzielny lecz i wspaniałomyślny zarazem! To nie Niemiec!

Może od czasu naszych wojen z Turkami, od czasu tych wojen, które ciągnęły się przez długie wieki, mamy przysłowie: „Kto się czubi, ten się lubi". Bo też my, tłukąc się ustawicznie z pohańcami, lubiliśmy się z nimi bardzo. I lubimy się do dziś dnia! Rzecz ciekawa, gdy Polska po trzecim rozbiorze, zatem z końcem w. XVIII, na długo utraciła wolność, Turcja nie chciała uznać tego faktu, i sułtan, choć Polski jako państwa dawno już nie było, przecież posłów zagranicznych i ambasadorów przyjmując, pytał zawsze: „Gdzie jest poseł Lechistanu?"—odpowiadano mu zaś jakby wedle ustalonego protokółu, że pewne przeszkody nie pozwoliły posłowi stawić się na dworze padyszacha.

Nasze walki z Turkami, to jeden z najbardziej romantycznych rozdziałów historji dawnej Polski. To wielka powieść awanturnicza, rycerska, pełna fantazji, rozdzwoniona dźwiękiem kopyt, szumiąca skrzydłami husarskiemi, kolorowa od chorągwi. To historja kolorowa tak jak dawny strój turecki i jak nasz strój. Bo też Polacy, mówiąc ściślej, szlachta polska ubierała się i nawet do dziś dnia podczas wielkich uroczystości ubiera się po... turecku. Przecież polski atłasowy czy jedwabny żupan jest strojem persko-tureckim, jak turecka jest polska karabela, jak persko-turecki jest słynny pas „polski", jak tureckie były rzędy na konie. Oczywiście, początkowo karabele te, pasy i rzędy pochodziły z łupu. Zdarłszy z pokonanego Turka strój jego świetny, szlachcic polski rad przebierał się w ten kostjum, który sczasem stał się ubraniem polskiem nie tylko odświętnem lecz i codziennem. Niedarmo pisałem na wstępie, że Polska leży między Europą a Azją, czego świadectwem jest m. in. i historja ubiorów polskich.

Pewien, zresztą późniejszy, pamiętnikarz wspomina fakt, że młody jakiś rycerz, wracając w domowe pielesze, chciał staremu ojcu sprawić niespodziankę i przebrany za Turka, zajechał do domu nie na koniu lecz na... wielbłądzie zdobycznym. Znowuż niebardzo europejskie zwierzę ten wielbłąd! U nas nie był zwierzęciem domowem, choć nie był też i czemś tak bardzo niezwykłem, skoro w połowie XIII w. dwieście wielbłądów spędziło pewnego roku całą zimę na rynku krakowskim, przybywszy z taborem posła tatarskiego. Gdzieindziej wielbłąd wzbudzał podziw i zainteresowanie tłumu, nic też dziwnego, że ulice Rzymu zaroiły się, gdy ciągnął niemi orszak posła polskiego, Ossolińskiego, który w XVII w. papieżowi oddając listy uwierzytelniające, w podarku przywiózł wielbłąda. Miała uciechę gawiedź rzymska na widok owego monstrum! Utrzymał się w Polsce wielbłąd przez długi czas, i jeszcze w XVIII w. możni panowie nasi ciągnęli za sobą tabory ogromne, w których bywało po kilkaset wielbłądów. Lecz to już tylko fantazja wielkopańska, która zresztą do początków w. XX gdzieniegdzie dotrwała, skoro autor tej książeczki, dzieckiem będąc, widział jeszcze pod Krakowem wielbłąda w pewnym dworze.

Gaduła ze mnie, gaduła stary i nieoprawny! Mam pisać krótką historję a tymczasem bajdurzę o wielbłądach! Zamiarem moim było napisać coś niby „ration-book" dziejów Polski, więc niejako historję na kartki, a tu już kartek tak wiele wypisałem, i jestem zaledwie u samego początku. Więc, żeby skończyć z owym młodym szlachcicem: przebrany za paszę zajeżdża na dromedarze pod dom rodzinny, aby, jak się rzekło, ojcu sprawić niespodziankę, a tymczasem staruszek, ujrzawszy pohańca na progu, tak się tem ucieszył, że Bogu oddał ducha. Ładna niespodzianka!

Ale Polska, leżąc u progu Azji, jest przecież kością z kości i krwią z krwi Europy, tyle zatem pierwiastków wschodnich wsiąkło w nasz strój ile wsiąkło weń zachodnich, więc francuskich, włoskich, hiszpańskich, szwedzkich, a nie brak i węgierskich, zależnie od tego, jakich królów mieliśmy i jakie królowe, które dyktowały modę. Dzisiaj, w drugim roku wojny, Polacy w kraju nieszczęsnym, wogóle nie mają się w co ubrać, bo ostatnią koszulę zdarł im z grzbietu złodziej niemiecki albo *), my zaś tu, w drugim roku wygnania, z dandysem Brummelem nie możemu iść w paragon, ponieważ wedle starego polskiego przysłowia każdy z nas jest „goły jak święty turecki"...

Więc tłukliśmy się z Turkami ale kochaliśmy się bardzo wbrew ustawicznym walkom, które zwłaszcza na pograniczu, w rodzaj sportu się przerodziły. Była to walka jakby według reguł, przyjętych przez obie strony, przyczem niekiedy Polacy zamieniali się z Turkami na czapki, co oznaczało przyjaźń dozgonną, której obie strony umiały dotrzymać. Gdy jakiś pograniczny pasza turecki i polski zagończyk chcieli nadać owej przyjaźni charakter jeszcze bardziej uroczysty i wiążący, wodę na szable lali.

W r. 1933 obchodziliśmy 350-ą rocznicę naszej sławnej wiktorji wiedeńskiej, w której Turków pobił Sobieski na głowę. I któż był najmilszym a pierwszym gościem podczas święta wielkiej tej rocznicy w Krakowie? Turcy! Marszałek Piłsudski gościł ich w namiotach, rozbitych na błoniach krakowskich, a tłumy wiwatowały na cześć tych odwiecznych, „śmiertelnych" wrogów, wrogów gentlemenów.

Turcy, to nie Niemcy!

FROM THESE OPERATIONS THE KING IS MISSING

Wracam do sześciu palców. Władysław III Warneńczyk, dość lekkomyślnie pozbawiony pomocy, którą Rzym przyrzekł, zmierzył swe siły z potęgą turecką. Rozgrywka odbyła się w r. 1444 pod Warną w dzisiejszej Bułgarji. Komunikaty ówczesne ogłosiły światu, że Władysław poległ w tej straszliwej klęsce, którą poniosły jego wojska. Co innego niż komunikat utrzymywała legenda, według której młody król uciekł z życiem i schronił się przed własnym wstydem w jakimś dalekim, obcym kraju. Do dziś dnia nawet można oglądać na Maderze jego rzekomy grób, choć zapewne uznać to należy za bajkę wierutną, jak bajką i plotką było, że Władysława widziano raz w Hiszpanji, raz w Niemczech, to znowu w Czechach lub w Polsce. Znalazło się sporo samozwańców, których jedyną legitymacją było... sześć palców u każdej stopy. Niemniej legenda Władysława żyła dość długo, jego zaś następca, brat młodszy, przez pewien czas nie chciał przyjąć korony polskiej, tłumacząc się m.in. tem, że boi się żywemu wchodzić w drogę.

Spora ilość tych, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, „zaginionych" w walkach z Turkami, sprawiła, że w Polsce wydano sczasem prawo, według którego żona zaginionego mogła wejść powtórnie w związki małżeńskie dopiero po upływie pewnej ilości lat. Ponieważ Turcy porywali w jasyr kobiety polskie, więc i mąż takiej „zaginionej" mógł się ożenić powtórnie dopiero po jakimś ustalonym czasie. Turcy radzili sobie z tą sprawą znacznie prościej. No, u nich było wielożeństwo...

WASZ „NOSE" I NASZ „NOS"

Wiek XV jest wiekiem wielu praw i ustaw w Polsce. Zanim przejdziemy do nich, muszę wspomnieć o „ustawie" bardzo swoistej, o tej mianowicie, która ujęła w karby ortografję polską. Gdy Władysław Warneńczyk wojuje z Turkami, gdy Szkocją włada nieszczęsny a też młodociany Jakób I, inny Jakób, syn Parkosza z Żórawicy, ksiądz i kanonik, zapanował nad rozmaitemi dowolnościami czy brakami polskiej pisowni. Stało się to około r. 1440. Wiem, że nie zaimponuje wam ta data, choć jest stosunkowo stara. Trudno, pod pewnym względem jesteśmy młodsi i nawet ubożsi. Nasz pierwszy znany autor, jak już mówiliśmy, żyje w w. XII, wy—jeśli idzie o Szkocję — już w w. VI macie pierwszy skandal literacki i proces o plagjat, dokonany przez św. Kolumbę, który nie tylko bez zezwolenia św. Finjana przepisał pożyczoną Biblję, ale co gorsza, nie chciał książki temuż św. Finjanowi zwrócić. Wtedy to król szkocki Dermat wydał przemądry wyrok, streszczający się w słowach: „Do każdej krowy należy jej cielę, do każdej książki należy jej dziecko-książka". Wiek VI! Wyznaję otwarcie, że mi to imponuje, ale i data skodyfikowania reguł polskiej, trudnej pisowni, ma również swoją wymowę.

Najpierw jednak pytanie, czy istotnie pisownia nasza jest trudna przy całej a tak wielkiej ilości kropek, kresek, ogonków lub innych znaków diakrytycznych? Pewnie, komplikują sprawę nasze spółgłoski, jak *ć, ś, ź, ń, ż, ł,* i samogłoski, jak *ó,* zwłaszcza nosówki *ą* i *ę,* równie jak i spółgłoski kombinowane w rodzaju *sz, rz, dż, dź,* jak wreszcie nasze sposoby zmiękczania, jednak przy odrobinie wysiłku cudzoziemiec nie tylko potrafi przeczytać jakikolwiek polski wyraz ale nawet odnajdzie bliskie, wyraźne pokrewieństwo dwóch, pozornie tak dalekich od siebie języków.

Weźmy przykład pierwszy zbrzegu. Czy wasz *nose* nie jest podobny do naszego *nosa?* Ależ podobny wcale nie jak pięść do nosa, lecz jak dwie krople jeśli nie wody, to wspólnej niegdyś krwi, którą możnaby nazwać krwią „indoeuropejską". Powiada polskie przysłowie, że „niedaleko padło jabłko od jabłoni", co sprawdza się i na przykładzie angielskiego *apple* i polskiego *jabł-ka,* angielskiej *sister* i polskiej *siostry, son* i *syn.* Ach, mógłbym temi podobieństwami sypać jak z rękawa! Wy pijecie *milk,* my *mleko,* na waszą *mouse* a polską *mysz* poluje wasz *cat,* nasz *kot.* Kogoś, kto jest po waszemu *swine,* my zwiemy *świnią, goose,* to *gęś,* czyli w pewnym sensie nasz język jest po waszemu *the same,* po naszemu *ten sam...*

Był jeszcze bardziej ten sam! *Brother,* to po polsku *brat,* ale w starej polszczyźnie *brat* polski był o wiele bliższy angielskiemu *brother* i wymawiano go jako *bratr.* Czy dziś, gdy w walce o wspólne cele popłynął już *stream,* po polsku *strumień,* krwi waszej i naszej — czy dziś, powtarzam, dziwić nas może brytyjsko-polskie *brotherhood,* czyli *braterstwo?* Czy nie jest rzeczą jasną, że stanowimy jedno *brethren,* inaczej jedną *brać?*

POLSKI KOLUMB

Jeśli Szkoci mają w VI w. św. Kolumbę, Polacy w w. XV mają swego Kolumba, który pono, pono odkrył... Amerykę na długo przed sławnym Genueńczykiem. Tym odkrywcą był domniemany Polak, niejaki Jan z Kolna, któremu rzekomo udało się w r. 1476 dotrzeć do Labradoru.

Jeśli wspominam o tym żeglarzu dzisiaj, w r. 1941, w którym udało się Ameryce odkryć wojnę, albo raczej wojnie odkryć Amerykę — czynię to dlatego, by zatrzeć nieco ujemne wrażenie, jakie mogły zostawić u czytelników wspomniane palce Władysława Warneńczyka.

Nie bierzcie mi za złe tej próżności, o, Ladies and Gentlemen!

ZYGMUNT NOWAKOWSKI.

*) Usunięte na żądanie cenzury polskiej (*przyp. red.* „*Wiadomości Polskich*").

*) por. „Przedstawiamy się!" w nr. 64, „Wiek drewniany" w nr. 68, „Germański miecz—tatarska strzała" w nr. 72, „Król-Yard" w nr. 77, „Tut-ench-Amun z Wawelu" w nr. 80, „Banderia Prutenorum" w nr. 88 „Wiadomości Polskich".

KSIĘGARNIE POLSKIE

M. I. KOLIN (Publishers) LTD

LONDYN
9, New Oxford Street

PERTH
28, King Edward Street

DUNDEE
24a, Cowgate

BLACKPOOL
40, Lytham Road

POLECAJĄ
książki polskie, książki angielskie o Polsce, pocztówki polskie, życzenia świąteczne, polskie płyty gramofonowe, pisma i czasopisma polskie, guziki i orzełki różnych rozmiarów, broszki i t.d.

POWINSZOWANIA ŚWIĄTECZNE



LEWITT-HIM (*2 kompozycje wielobarwne po 1/3 łącznie z kopertą*)



FELIKS TOPOLSKI (*8 kompozycyj jednobarwnych po 10d. łącznie z kopertą*)



JANINA KOHARSKA (*3 kompozycje dwubarwne po 10d. łącznie z kopertą*)



MAPA POLSKI Z XVII WIEKU w 4 kolorach (*po 1/3 łącznie z kopertą*

do nabycia:
M. I. KOLIN (Publishers) LTD.
LONDON: 9, New Oxford St., W.C.I.
PERTH: 28, King Edward St. DUNDEE: 24a, Cowgate.
BLACKPOOL: 40, Lytham Road.

JULJUSZ ŁUKASIEWICZ

Uwagi o polityce ukraińskiej Marszałka Piłsudskiego

Sądzę, że obszerny artykuł p. Adama Pragiera „Polityka ukraińska Piłsudskiego" („Wiadomości Polskie", nr. 84) domaga się sprostowania pewnych nieumotywowanych i niesłusznych twierdzeń.

Nie ulega wątpliwości, że „o wojnie i o polityce decydował w tym czasie tylko sam Piłsudski", z tego powodu nie można jednak traktować ówczesnej polityki polskiej w Europie wschodniej z zupełnem niedocenieniem epoki, w której żyliśmy, dawnych naszych walk wolnościowych oraz przeszłości Piłsudskiego. Niepodobna także odrywać akcji ukraińskiej Piłsudskiego od całości jego polityki wschodniej, od stosunku do Litwinów, Łotyszów, Estończyków, Finów, Gruzinów i.t.d.

*

W chwili swego odrodzenia państwowego Polska znalazła się na styku dwóch procesów dziejowych, które kształtowały otaczającą ją rzeczywistość. Z zachodu podnosiła ją fala rewolucji politycznej, dającej wolność narodom Europy środkowej — ze wschodu biła w nią burza rewolucji bolszewickiej, skrajnie radykalnej społecznie, a politycznie zdecydowanie antydemokratycznej i imperjalistycznorosyjskiej. Polska należała do Zachodu. Własne walki i losy sprzęgły ją całkowicie z tym procesem historycznym, który od końca XVIII w. kształtował życie polityczne świata pod znakiem wolności narodów.

Powstanie w Europie środkowej po wojnie światowej kilku państw niepodległych, a wśród nich i Polski, było nowym etapem tego procesu, poprzedzonym w w. XIX przez powstanie niepodległych państw: Belgji, Grecji, Włoch, Serbji, Rumunji, Norwegji i Bułgarji. Na półkuli zachodniej odpowiadało temu wcześniejsze usamodzielnienie się Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej oraz republik południowoamerykańskich i środkowoamerykańskich. Na pograniczu Europy i Azji wojna światowa zrodziła republikę turecką i przyczyniła się do znacznego natężenia ruchów narodowych na całym kontynencie azjatyckim. Rewolucja rosyjska 1917 r., zwłaszcza w swej pierwszej fazie, co p. Pragier zupełnie pomija, nosiła również charakter wybitnie wolnościowo-narodowy.

W parę dni po upadku caratu stolica Rosji była zalana manifestacjami narodowemi Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Łotyszów, Estończyków, Gruzinów i Turkmenów, domagających się bądź szerokiej autonomji, bądź niepodległości. Pierwsze centralne rządy demokratyczno-rewolucyjne Rosji nie mogły dać sobie rady z procesami separatystycznemi, które rozwijały się szybko na zachodnich i południowych rubieżach byłego imperjum. Rezultatem tych ruchów było m.in. powstanie już w r. 1917 niepodległej republiki ukraińskiej.

Druga faza rewolucji rosyjskiej, wbrew uogólnieniom p. Pragiera, nie była także procesem wyłącznie społecznym. Bolszewizm walczył z demokracją i z niepodległościowemi ruchami narodowemi równie energicznie, jak z własnością prywatną. Mając jako cel ostateczny komunistyczną rewolucję światową, bolszewizm zdradzał w stosunku do ziem i narodów byłego cesarstwa tendencje wyraźnie imperjalistyczne.

Taka była rzeczywistość, która otaczała Polskę w chwili jej państwowego odrodzenia. Stosunek Piłsudskiego do tej rzeczywistości był już wówczas, i to oddawna, ustalony.

Piłsudski uważał zawsze, że zaborczy imperjalizm rosyjski nie jest tylko wyrazem polityki régime'u carskiego i nie oczekiwał zasadniczych zmian w tej dziedzinie od żadnych nowych rządów czy od rewolucjonistów rosyjskich. Dlatego doprowadził do zupełnego wyodrębnienia polskiego ruchu socjalistycznego i unikał bliższej współpracy z rosyjskiemi organizacjami rewolucyjnemi. Nie miał do nich zaufania. Współpracował natomiast z ruchami wolnościowemi innych narodów, które dążyły do uwolnienia się spod przewagi Petersburga i Moskwy. Odpowiadało to zasadniczym podstawom jego ideologji demokratyczno-rewolucyjnej. Cenił też znaczenie tych ruchów z punktu widzenia osłabienia imperjalistycznej Rosji i stworzenia lepszych warunków walki o niepodległość Polski. Po rewolucji 1905 r. wszystkie polskie organizacje niepodległościowe w Kijowie, Charkowie, Moskwie, Petersburgu, Dorpacie, Rewlu, Rydze i Wilnie, które były pod wpływem lub kierownictwem Piłsudskiego, współpracowały z organizacjami litewskiemi, łotewskiemi, estońskiemi i ukraińskiemi. Do tych organizacyj należały grupy P.P.S. (Frakcji Rewolucyjnej), organizacje postępowo-demokratyczne, Związek Walki Czynnej i stowarzyszenia młodzieży akademickiej. Zbyteczne byłoby dodawać, że zagadnienie ratowania polskiej własności ziemskiej na dawnych kresach Rzeczypospolitej nie odgrywało tu żadnej roli. Hasło walki „za naszą wolność i waszą" było natomiast istotną podstawą ideową.

W r. 1918 Polska miała do wyboru: albo walczyć na Wschodzie tylko o swoje granice i nie interesować się losami najbliższych sąsiadów, albo przyczynić się do nowego ukształtowania struktury politycznej Wschodu europejskiego, będącego w okresie rewolucji politycznej i społecznej. Decyzja należała do Piłsudskiego. Bez walki obyć się nie mogło, aczkolwiek bowiem Rosja bolszewicka unieważniła traktaty rozbiorowe Polski (dekret Rady Komisarzy Ludowych z dn. 9 kwietnia 1918 r.), mimo to wojska czerwone, przejmując w posiadanie tereny okupowane przez Niemców, zajęły Wilno, Pińsk, Lidę oraz Brześć Litewski i posunęły się pod Grodno. Rząd moskiewski nie zdradzał najmniejszej ochoty dobrowolnego cofnięcia tych wojsk na wschód. Dodajmy, że na południu rozgorzała walka z Ukraińcami o Małopolskę Wschodnią.

Wobec wypadków rosyjskich stanowisko Piłsudskiego było jasne. Odrzucał on kategorycznie wszelką myśl o interwencji w wewnętrzne ustrojowe sprawy rosyjskie. Kierował wojną Polski z Rosją jako normalną wojną państwa z państwem. Inne narody, walczące o uwolnienie się spod panowania Moskwy, traktował jako sprzymierzeńców równych w walce i prawach. Natychmiast ponawiązywał bezpośrednie kontakty z Łotyszami, Estończykami i Finami oraz z narodami południowego Kaukazu. Z Łotyszami i z Gruzinami zawarł ściślejsze porozumienia wojskowe. Jeżeli w tej chwili tak już wyraźna polityka wschodnia Piłsudskiego nie objęła również Ukraińców, stało się to tylko dlatego że byliśmy z nimi w walce o Małopolskę Wschodnią. Po stronie Rusinów galicyjskich stał również Petlura, ataman demokratycznej republiki ukraińskiej.

Próżneby było oczywiście dyskutować nad tem, czy na politykę Piłsudskiego wpływał bardziej jego negatywny stosunek do Rosji, czy przyjazne traktowanie niepodległościowych ruchów narodów sąsiadujących z Polską. Celem niewątpliwym było stworzenie w Europie wschodniej szerokiego pasa ziem wyjętych spod wpływów Niemiec i Rosji oraz oparcie jego struktury politycznej na zasadzie współpracy wolnych państw narodowych.

Piłsudski działał w imię tych samych haseł wolności i prawa narodów oraz demokratyzacji ustrojów państwowych, pod któremi to hasłami Anglja i Francja prowadziły wojnę z Niemcami, Austrją i Turcją. Piłsudski szedł jednak dalej i chciał jednocześnie budować w sąsiedztwie Polski podstawy zorganizowanej współpracy wyzwolonych narodów. Koncepcje federalistyczne nie były tu „propagandową formą prezentacji polityki Piłsudskiego wobec własnego społeczeństwa", ale najistotniejszą częścią składową szeroko pomyślanego programu.

Można oczywiście odnajdywać w polityce Piłsudskiego koncepcje polskie z okresu siły i europejskiego znaczenia Rzeczypospolitej, jak to czyni p. Stanisław Mackiewicz. Nie należy jednak posuwać się tak daleko, aby suggerować lub tem bardziej twierdzić że na Wschodzie Piłsudski chciał oprzeć się głównie na ziemiaństwie polskiem, czy też wogóle na Polakach. Niema na to dowodów, natomiast są dowody przeciwne. Polityka federacyjna Piłsudskiego nie była zrealizowana, mamy jednak przykłady jego stosunku do Polaków w granicach Łotwy i Litwy. Zawierając z Łotyszami porozumienie wojskowe i pomagając im w zajęciu Letgalji (dawnych Inflant Polskich), Piłsudski nie postawił żadnych warunków dotyczących interesów ziemian polskich. Nigdy też później nie chciał pozwolić na użycie swego autorytetu do obrony ich przed zupełną prawie eksterminacją z roli, natomiast zawsze wymagał, by stosunki z Łotwą były układane w zgodzie z pełnym szacunkiem dla zasady równości. Wiem coś o tem z własnego doświadczenia jako były kierownik wydziału wschodniego ministerstwa spraw zagranicznych i w ciągu kilku lat poseł w Rydze. Podobnie w stosunku do Polaków na Litwie (kowieńskiej), Piłsudski nie był specjalnie przejęty ich stanem posiadania, nie wyznaczał im nigdy roli historycznej i całą sprawę traktował w płaszczyźnie normalnej dla zagadnień mniejszościowych.

Dlaczego mamy zatem przypuszczać, że celem federacyjnej polityki Piłsudskiego było spolszczenie dawnych kresów Rzeczypospolitej, a nie zorganizowanie współżycia nowej Rzeczypospolitej z sąsiedniemi narodami w oparciu na współczesnych zasadach równości, stworzenie dla Polski lepszych warunków bezpieczeństwa i danie jej możności spełnienia szerszej, konstruktywnej roli w Europie wschodniej i środkowej? Nie można zaprzeczyć, że gdyby polityka federacyjna Piłsudskiego została zrealizowana, Polacy na dawnych kresach Rzeczypospolitej nie ulegliby tej eksterminacji, która zmiotła ich stamtąd zupełnie; czy jednak mogliby odegrać poważniejszą rolę polityczną, to więcej niż wątpliwe. W każdym razie nie ziemiaństwo, może inteligencja miejska i przemysłowa, której część pozostawała w bliższym kontakcie ze społeczeństwem miejscowem. Ale to wszystko; Piłsudski był zbyt wielkim realistą, by liczyć na coś więcej.

*

Pan Pragier suggeruje bardzo ścisły związek między sprawą wojskowych oddziałów polskich, utworzonych w Rosji w czasie rewolucji, i polityką Polski wobec Rosji i Ukrainy. Związku tego nie było.

Inicjatywa tworzenia wojsk polskich na terenie Rosji powstała w chwili, gdy rewolucja nie miała jeszcze charakteru zdecydowanie społecznego. Źródłem tej inicjatywy była, po pierwsze, chęć uzyskania konkretnego potwierdzenia niepodległości Polski uznanej właśnie przez Rosję, po drugie, dążenie do wydzielenia Polaków z rozkładającej się armji rosyjskiej i ustrzeżenia ich od udziału w grożącej wojnie domowej. Nie trzeba zapominać, że większość Polaków, będących w wojskach rosyjskich, pochodziła nie z kresów, lecz z ziem rdzennie polskich, i że inicjatywa polska nie była odosobniona — armja rosyjska rozkładała się wówczas na oddziały narodowe. Znaczna część polskich politycznych organizacyj była zresztą przeciwna tej inicjatywie, obawiając się właśnie, że wojska polskie, pozbawione kierownictwa politycznego, nie będą mogły zachować pożądanej neutralności w dalszym rozwoju rewolucji. Częściowo tak się stało — pomimo to byłoby błędem twierdzić, że polskie oddziały wojskowe powstały w Rosji głównie albo wyłącznie na tle interesów klasowych ziemiaństwa kresowego.

Losy rewolucji i wojny domowej rozrzuciły polskie oddziały wojskowe po różnych zakątkach byłego imperjum — niektóre znalazły się w sferze działania białych armij rosyjskich oraz sprzymierzonych korpusów interwencyjnych i brały udział w operacjach przeciw bolszewikom, inne na Białejrusi i Ukrainie broniły się same przed bolszewikami i broniły również sporadycznie ziemian polskich. Przejście korpusu gen. Dowbora-Muśnickiego do okupacji niemieckiej było związane nie tyle z chęcią bicia się z bolszewikami ile z trudną sytuacją wojskową (korpus był z trzech stron otoczony przez armję czerwoną) i z zakończeniem wojny rosyjsko-niemieckiej traktatem pokojowym w Brześciu.

Trzeba znowu podkreślić, że z bolszewikami biły się również inne wojska narodowe, w szczególności ukraińskie, estońskie i południowokaukaskie. Biła się z nimi wreszcie Finlandja. Podłoże polityczne tych walk było co najmniej tak samo silne jak społeczne. Zupełne niedocenienie przez p. Pragiera charakteru politycznego rewolucji rosyjskiej powoduje jednostronne i równie niesłuszne ujęcie sprawy utworzenia polskich oddziałów wojskowych w warunkach i atmosferze tej rewolucji. Najważniejsze jest jednak, że jeśli chodzi o wschodnią politykę Piłsudskiego, która była polityką Polski, krótkotrwałe istnienie tych wojsk nie miało dla niej najmniejszego znaczenia. W końcu 1918 r. większość ich należała już do przeszłości, a pozostałe dążyły jedynie do przedostania się do kraju. Nikt z generałów t.zw. „katolików" nie odegrał poważniejszej roli, nikt z działaczy politycznych, związanych z organizacją wojsk polskich w Rosji, nie zyskał wpływu na politykę Polski. Co do kresowych ziemian Polaków specjalnie z Ukrainy, to i bez polskich oddziałów wojskowych w Rosji mieliby oni z pewnością nadzieję, że w oparciu na Polsce uratują swe majątki — lecz spotkałoby ich to samo rozczarowanie, jakie było udziałem naszych ziemian w dawnych Inflantach Polskich.

*

Analizując przebieg wojny polsko-sowieckiej, p. Pragier stwierdza, że sowieckie propozycje pokojowe z końca 1919 r. były pełne dobrej woli i spowodowane państwową racją stanu Rosji. Argumenty, użyte przez p. Pragiera, nie odpowiadają mojem zdaniem ówczesnej rzeczywistości. Rosja sowiecka, w stosunku do pierwszych dwuch lat swego istnienia, nie tylko nie była osłabiona, ale odwrotnie, znacznie wzmocniona. W końcu 1919 r. bolszewizm święcił ostateczny tryumf zarówno w walce z białymi generałami jak i z interwencyjnemi armjami sprzymierzonych. Z szerokiego koła frontów, otaczających bolszewików jeszcze przed kilkoma miesiącami, pozostał tylko front zachodni, rumuńsko-polsko-bałtycki. Armja czerwona zdobyła przytem poważne zapasy nowoczesnego sprzętu wojennego i amunicji, dostarczone wojskom białych przez sprzymierzonych.

Z drugiej strony, jeżeli kiedykolwiek później można było mieć wątpliwości, czy polityka Sowietów powoduje się państwową racją stanu czy też interesem międzynarodowej rewolucji komunistycznej, wtenczas właśnie żadnych wątpliwości co do tego nie było. Komunizm moskiewski był w fazie ówczesnej „kościołem wojującym"; na całem prawie terytorjum byłego imperjum święcił zupełne zwycięstwo; przygotowywał się do torowania sobie drogi na wschód, przy pomocy haseł nacjonalistyczno-wyzwoleńczych; po zlikwidowaniu interwencji sprzymierzonych zyskiwał znacznie we wpływach na Zachodzie, zwłaszcza w Wielkiej Brytanji. Moskwa była jeszcze bardzo daleko od stalinowskiego programu budowania komunizmu w jednem państwie, otoczonem przez świat kapitalistyczny, i wierzyła w możliwość bliskiej międzynarodowej rewolucji komunistycznej. Trockij, jak wiadomo, reprezentował ten właśnie kierunek.

Zarówno z punktu widzenia czysto wojskowego jak politycznego istniały więc bardzo poważne argumenty za tem, że propozycje pokojowe, poczynione Polsce, były tylko zastosowaniem metody „pieredyszki".

Pan Pragier wyraża dalej opinję, „że Rosja sowiecka bez niechęci widziałaby się była obok Polski w roli jak gdyby państwa rozbiorczego na obszarach kresowych. W tak rozumianych „celach wojny" czuła się Rosja od samego początku solidarna z Polską, i stąd w tym czasie płynęła naprawdę jej ustępliwość". Jest to przypuszczenie naprawdę paradoksalne. Dla poparcia go p. Pragier w tym jednym jedynym wypadku traktuje poważnie siłę „rozmachu nacjonalizmu ukraińskiego w obrębie Rosji" choć naogół równie niesłusznie bagatelizuje ukraiński ruch narodowy. Właśnie w początku 1920 r. bolszewicy byli w trakcie rozbudowywania Ukrainy sowieckiej w oparciu na hasłach nacjonalistycznych, w swoim obozie mieli też Ukraińców małopolskich, którzy na tle stosunku do Rosji sowieckiej rozstali się z Petlurą. Gdybyśmy nawet mogli zanalizować tu szczegółowo sowiecką politykę wobec Ukrainy, nie znaleźlibyśmy śladu dążenia do ugody z Polską — Ukraina była zawsze jednym z taranów ataku bolszewizmu przeciw Polsce.

Dodajmy jeszcze, że sowieckie propozycje pokojowe zbiegły się dość dziwnie ze znaną decyzją paryskiej konferencji ambasadorów (dn. 8 grudnia 1919 r.) o ustaleniu prowizorycznej wschodniej granicy Polski na Bugu i nieco wcześniejszem postanowieniem tej samej instytucji (dn. 21 listopada 1919 r.) o udzieleniu Polsce 25-letniego mandatu na administrowanie Małopolską Wschodnią. Jak wiadomo, projekt linji Bugu nie powstał w kancelarjach dyplomatycznych Paryża i Londynu, ale był zaproponowany przez emigracyjne koła rosyjskie, których opinje w dziedzinie „zbierania ziem rosyjskich" były zawsze dziwnie zgodne z polityką sowiecką. I z tej więc strony dobra wola moskiewskich propozycyj pokojowych była naświetlona w sposób dość niepokojący.

W takich to warunkach Piłsudski nie przyjął pokoju na podstawie propozycyj sowieckich i postawił własne warunki.

Swoje rozważania na powyższy temat p. Pragier poprzedza następującem, rzeczywiście zdumiewającem zdaniem: „Trzeba sobie było postawić „cel wojny"—której nie było, albo raczej cel agresji — która była". Mam wrażenie, że pisząc i drukując na emigracji, powinnibyśmy obchodzić się nieco ostrożniej z tego rodzaju formułami. Wojna oczywiście była, bez niej nie mielibyśmy ani Brześcia Litewskiego, ani Wilna, ani wielu innych miast sowieckich. Nie sądzę, aby ktokolwiek mógł przypuszczać, że po przejęciu z rąk okupanta niemieckiego naszych najbliższych kresów wschodnich, bolszewicy byli skłonni oddać jakąkolwiek część tych ziem Polsce — w każdym razie nigdy tego nie proponowali i nie zdradzali żadnych w tym kierunku zamiarów. Nowego okupanta można było pozbyć się tylko przy pomocy akcji zbrojnej, i taka akcja nie jest w żadnym wypadku agresją. Istotnie bolszewicy bili się na naszych kresach w r. 1919 stosunkowo słabo; zajęci znacznie niebezpieczniejszą walką z wojskami białemi i interwencyjnemi przywiązywali mniejszą wagę do frontu polskiego, nie cenili wysoko młodych sił polskich i wiedzieli, że Piłsudski nie pozwoli ich użyć do interwencji w rosyjskiej wojnie domowej. Pomimo to wojna była, i twierdzenie odwrotne mija się z oczywistą prawdą. A dalej sprawa agresji. Czy kontynuowanie wojny po odrzuceniu przez Sowiety warunków prowadzenia rokowań pokojowych, postawionych przez Piłsudskiego, było ze strony polskiej agresją?

Czy gdyby Niemcy w 1918 r. odrzuciły warunki sprzymierzonych, dotyczące już nie całkowitego zniszczenia ich sił wojskowych, ale chociażby okupacji części kraju, i w konsekwencji wojska Marszałka Focha kontynuowały walkę, przyszłoby komukolwiek do głowy powiedzieć, że sprzymierzeni dopuścili się agresji?

Polski nie było stać na to, by żądać od bolszewików całkowitego rozbrojenia i skontrolować ewentualne wykonanie go, a okupacja nawet największych terenów przy rozległości granic Rosji nie miałaby znaczenia, wobec tego Piłsudski postawił warunek nieprzerywania działań wojennych, bo to jedynie dawało gwarancję, że podczas trwania rokowań pokojowych siły wojskowe Rosji sowieckiej nie wzrosną nad miarę. Piłsudski nie mógł, oczywiście, polegać na żadnem osobistem zaufaniu do dobrej woli wroga. Musiał on pamiętać, że w trakcie zawieszenia broni i rokowań pokojowych bolszewicy mogą łatwo kilkakrotnie zwiększyć swe siły. Byliśmy pod tym względem w nierównych warunkach: bolszewicy mogli w krótkim czasie zwiększyć kilkakrotnie ilość wojsk i sprzętu na froncie polskim, ściągając poprostu na zachód znaczną część tego co było wolne na zlikwidowanych właśnie frontach wojny domowej i interwencji; Piłsudski, odwrotnie, nie tylko nic podobnego nie mógł zrobić, ale musiał się liczyć, że gdy rozpocznie rokowania pokojowe, nie będzie mógł mieć nawet nadziei na dalszą pomoc materjałową ze strony Francji i Wielkiej Brytanji. W tych warunkach, dla zachowania jakiej takiej równowagi sytuacji przy rokowaniach pokojowych, musiał postawić żądanie nieprzerywania działań wojennych. Propozycja prowadzenia rokowań na froncie w Borysowie zmierzała do tego samego celu. Zawieszenie broni, którego domagał się rząd sowiecki, musiało doprowadzić albo do tego, że rokowania pokojowe odbywałyby się pod wzmagającym się stale naciskiem rosnących szybko sił armji czerwonej na froncie polskim i naciskiem polityki francusko-angielskiej (uchwała z dn. 8 grudnia 1919 r. o linji Bugu), albo też do wznowienia działań wojennych w sytuacji dla Polski bardzo znacznie, jeśli nie katastrofalnie pogorszonej. Warunki, postawione przez Piłsudskiego, uniemożliwiały taką „pieredyszkę" i dlatego zostały przez Moskwę odrzucone. Że przewidywania Piłsudskiego co do możliwości szybkiego wzrostu sił sowieckich na froncie polskim były słuszne — dowiodła tego ilość wojsk czerwonych, które w parę miesięcy później nawet bez „pieredyszki" zostały rzucone przeciw Polsce. Z drugiej strony odrzucenie przez rząd sowiecki angielskiej propozycji zawarcia pokoju z Polską i wykreślenia granic wzdłuż linji Bugu i Sanu (lipiec 1920 r.) rzuciło jaskrawe światło na jego dobrą wolę oraz istotne zamiary wobec Polski i Europy; czy może ktoś przypuszczać, że hasło marszu przez Warszawę ku międzynarodowej rewolucji europejskiej zrodziło się w polityce sowieckiej dopiero po załamaniu się rokowań borysowskich?

Agresja więc rzeczywiście była, ale agresja sowiecka, i to w stosunku do tych samych ziem polskich, co w 1939 r.

*

Wydaje mi się dalej, że opinja p. Pragiera o ukraińskim ruchu niepodległościowym jest nie tylko jednostronna, ale niezrozumiale nieprzychylna. Pan Pragier suggeruje właściwie, że ruch ten był całkowicie sztuczny i wywołany z zewnątrz. Czy trzeba przypominać, że ukraiński ruch niepodległościowy rozwijał się tak samo jak litewski, łotewski, estoński i gruziński. Polska zetknęła się z nim w ciężkiej i krwawej walce o Lwów, Małopolskę Wschodnią i część Wołynia.

Z drugiej strony rząd demokratycznej republiki ukraińskiej atamana Petlury nie był bynajmniej utworzony w Polsce, tylko schronił się na jej ziemie po klęskach poniesionych w całorocznej wojnie z Rosją sowiecką, gen. Denikinem, no i z Polską.

Rząd Petlury znalazł się w początku 1920 r. w tem samem położeniu, co nieco wcześniej rząd łotewski, który urzędował przez jakiś czas na wojennym okręcie angielskim.

Trudnoby było oczywiście wdawać się tu w szczegóły, wypada jednak przypomnieć, że niepodległa Ukraińska Republika Ludowa powstała w r. 1917 natychmiast po wybuchu rewolucji bolszewickiej w Rosji i była wówczas uznana de facto przez Francję, Wielką Brytanję i Rumunję. Dyrektorjat Petlury został utworzony w końcu 1918 r. natychmiast po załamaniu się okupacji niemieckiej oraz Skoropadskiego i przez cały rok 1919 walczył o niepodległość Ukrainy, tak samo jak walczyły podobne organizacje łotewskie, estońskie, gruzińskie i t.d. Chodziło tu nie tylko o niepodległość, ale o ustrój demokratyczny. Petlura nie był ani czemś w rodzaju współczesnych Quislingów, ani przypadkową osobistością, która wypłynęła niespodziewanie w trakcie rewolucji rosyjskiej, tylko — jednym z trzech zasłużonych i dobrze znanych działaczy ukraińskich, którzy stali na czele ukraińskiego ruchu narodowego podczas i po rewolucji 1905 r. Był on narodowcem, niepodległościowcem i demokratą. Po klęsce w wojnie z Rosją sowiecką, Petlura miał do wyboru tylko dwie ewentualności: albo w oparciu na Polsce kontynuować walkę o niepodległą, demokratyczną Ukrainę, albo skapitulować. W podobnej sytuacji był Petruszewicz, przywódca Ukraińców małopolskich. Petlura wybrał walkę, Petruszewicz przeszedł na stronę Rosji. To prawda, że naród ukraiński „nie miał od niepamiętnych czasów własnego państwa", ale nie mieli go także Litwini, Łotysze i Estończycy. Te historyczne fakty ani nie były dla nich decydujące, ani nie mogły być argumentem do odmówienia im prawa do niepodległości. Że demokratyczno-narodowy i niepodległościowy ruch ukraiński nie był ani sztuczny, ani tak słaby, jak to suggeruje p. Pragier, świadczą brutalne i nieraz krwawe represje, które stosowała do Ukraińców Rosja sowiecka przez całych lat dwadzieścia, włącznie do aresztowań i rozstrzeliwań działaczy ukraińskich po napaści na Polskę w 1939 r. i okupowaniu Małopolski Wschodniej oraz Wołynia. Naprawdę, ludziom tym należy się więcej szacunku ze strony Polaka-demokraty.

Zagadnienie społeczne i rolne na Ukrainie nie było i nie jest również tak proste. Odegrało ono poważną, ujemną rolę z punktu widzenia polityki Petlury i Piłsudskiego, ale po ich przegranej bynajmniej nie zniknęło. W r. 1933 około trzech miljonów chłopów ukraińskich zginęło z głodu w walce z kolektywizacją rolnictwa, a wiele miljonów wywieziono w odległe zakątki Syberji. Sprawa „ziemi" nie zniknęła w życiu Ukrainy i kto wie w jakich formach jeszcze się odrodzi. Kto wie, czy nie będziemy jeszcze świadkami przeprowadzania z odwrotnego końca reformy, mającej na celu oparcie rolnictwa na małej własności prywatnej, reformy, o której w r. 1920 myślał Petlura. Demokracje — a Petlura był demokratą — nie wyrzekły się nawet jeszcze teraz zasady własności prywatnej, choć byłoby pewno pożądane by mocno ją ograniczyły.

Kilka lat temu na wielkim wiecu robotniczo-chłopskim, zwołanym z okazji inauguracji Dnieprostroju, wielotysięczny tłum słuchał w milczeniu przemówień dygnitarzy sowieckich, wygłaszanych oczywiście po rosyjsku; z tłumu tego odezwał się tylko jeden głos, i to po ukraińsku: „Beryt' sobi maszyny, widdajte zemlu" („Zabierzcie sobie maszyny, oddajcie ziemię") — może był to głos zacofania, a może i głos ludu, świadczący że tragiczna sprawa „ziemi" nie jest zamknięta.

Jestem z pewnością daleki od niedoceniania roli, którą w losach ukraińskiej akcji Piłsudskiego odegrał ukraińsko-polski konflikt społeczny czy raczej chłopsko-pański, i nie wątpię, że nasi kresowi ziemianie przyczynili się znacznie do tego by konflikt ten zaostrzyć. Jestem jednak przekonany, że przypisując niepowodzenie Piłsudskiego wyłącznie temu konfliktowi, widzielibyśmy mniej niż połowę prawdy. Pomimo wszystko, nie miejscowi chłopi ukraińscy spowodowali odwrót znad Dniepru, lecz masy kawalerji Budiennego i coraz większa koncentracja armji sowieckiej na północy. Akcja ukraińska skończyła się co najmniej w równym stopniu porażką czysto wojskową jak polityczną. Rosja sowiecka musiała jednak jeszcze w ciągu dwudziestu lat później stale „zwyciężać" Ukraińców.

Nie chciałbym wypowiadać w tej chwili żadnych przepowiedni na przyszłość — są zbyt trudne. Teza, że żadne imperjum rosyjskie nie może pozwolić na oddzielenie się Ukrainy, jest dobrze znana. Swego czasu równie kategorycznie było wypowiadane twierdzenie, że Rosja nie może się obejść bez t.zw. prowincyj bałtyckich. Żadne imperjum nie godzi się nigdy na utratę którejkolwiek ze swych prowincyj dopóki nie musi, często natomiast coś nowego jest mu koniecznie potrzebne. Nie chcę bynajmniej twierdzić, że Rosja będzie musiała wyrzec się Ukrainy — może lepiej niż kto inny wiem jak dalece polityka ludnościowa i przemysłowa rządu sowieckiego, realizowana z niesłychaną brutalnością i konsekwencją, zmieniła oblicze etnograficzne ziem ukraińskich. Myślę jednak, że trudno nie postawić sobie również pytania, czy Ukraina może się obejść bez Rosji i czy naród rosyjski, a nie takie lub inne imperjum rosyjskie, może żyć bez panowania nad Ukrainą i bez wynarodawiania jej ludności.

*

Niesłuszne wydaje mi się dalej zdanie p. Mackiewicza, przytoczone przez p. Pragiera, jakoby Piłsudski wierzył, iż przez swoją politykę wschodnią doprowadzi do tego, że Polacy będą mogli po pewnym czasie spolonizować państwa oswobodzone przez Polskę od Rosji, tak samo jak szlachta dawnej Rzeczypospolitej spolonizowała Litwę i Ruś. Oczywiście, każda opinja o tem w co Piłsudski wierzył lub nie wierzył, musi być subjektywna, chyba że ktoś mógłby przytoczyć jakieś jego własne autentyczne oświadczenie.

Nie pretenduję bynajmniej do roli „świadka koronnego", nie mam potemu kwalifikacyj: do Piłsudskiego jestem przywiązany, jak wielu Polaków, gorącym i głębokim sentymentem, nie mogę jednak powiedzieć, bym żywił podobne uczucia dla dworów polskich na dalekich dawnych kresach. Przepracowałem natomiast w dziale naszej polityki wschodniej kilkanaście lat; nieraz otrzymywałem instrukcje bezpośrednio od Piłsudskiego i miałem możność omawiania z nim poszczególnych spraw — nigdy nie odniosłem wrażenia, by Piłsudski przeceniał możliwości Polaków kresowych, lub przeznaczał im jakąś znaczniejszą rolę polityczną w przyszłości; odwrotnie, widział on jasno trudności, wypływające dla polityki polskiej z ich położenia i dążeń.

Myślę, że wysiłek zmierzający do zmieszczenia polityki wschodniej Piłsudskiego w tradycjach odległej przeszłości albo w ramach walki klasowej jest beznadziejny i daremny. Zbyt wiele dowodów jest na to, że tkwiła ona we współczesnych procesach dziejowych, które kształtowały życie Europy, w procesach idących z Zachodu na Wschód, a nie odwrotnie. Piłsudski chciał budować na wschodzie Europy nową formę współżycia wolnych narodów, którą odrzucał totalizm sowiecki, i był wśród mężów stanu Europy jedynym zdecydowanym federalistą — dziś jest ich więcej.

*

W drugiej części swego artykułu („Wiadomości Polskie", nr. 86), którą przeczytałem po skreśleniu tych uwag, p. Pragier porusza ogólnikowo szereg tematów tak zasadniczych, że dostatecznie wnikliwe przedyskutowanie ich wymagałoby nie jednego lecz szeregu artykułów. Sądzę jednak, iż należy tu sprostować przynajmniej jedną dość rażącą nieścisłość. Chodzi o projekt wyjazdu ministra Sapiehy do Rygi, jak suggeruje p. Pragier, w celu zerwania rokowań pokojowych z Rosją sowiecką.

Samo przypuszczenie, że w pół roku po zawieszeniu broni i podpisaniu preliminarjów pokojowych, które rozstrzygnęły wszystkie najważniejsze sprawy pełnego traktatu pokojowego, Piłsudski mógł myśleć o wznowieniu wojny z Rosją, jest nieprawdopodobne. Pomimo to notuję, tak samo jak p. Pragier, co mi w tej sprawie pozostało w pamięci.

1) Projekt wyjazdu ministra Sapiehy do Rygi powstał, jeśli się nie mylę, nie w związku z traktatem pokojowym, ale w związku z rokowaniami o zawieszenie broni i preliminarja pokojowe.

2) Inicjatywa wyjazdu ministra Sapiehy do Rygi powstała na radzie ministrów na tle naszych żądań w sprawie zwrotu złota z dawnego skarbu państwa Rosji carskiej, popieranych specjalnie przez premjera Witosa. (Byłem obecny na tem posiedzeniu jako kierownik wydziału wschodniego ministerstwa spraw zagranicznych). Na podstawie raportów delegacji z Rygi obawiano się mianowicie, że sprawa ta nie jest doceniana, zwłaszcza przez Jana Dąbskiego, i że nie będzie postawiona z pożądaną stanowczością. Piłsudski dowiedział się o decyzji wyjazdu ministra Sapiehy ex post, a w każdym razie nie był jej inicjatorem.

3) Dąbskiego zawiadomił o decyzji rady ministrów nie przyjaciel, lecz sekretarz osobisty, który był wówczas przypadkowo w Warszawie. Wysłał on za pośrednictwem sztabu generalnego nieco komiczny telegram szyfrowy: „Przyjeżdżam jutro Sapieha wślad za mną". Jak mi opowiadano, szef naszej delegacji wojskowej zbudził Dąbskiego w nocy, by służbowo i osobiście zakomunikować mu ten ważny telegram. Skutek był piorunujący. Następnego dnia rano Dąbski, bez porozumienia z delegacją, odbył rozmowę z Joffem, w której w ciągu godziny zlikwidował wszystkie kwestje sporne, stawiając zarówno rząd jak naszą delegację pokojową wobec faktu dokonanego. Nikt nie miał wątpliwości, że Dąbskiemu chodziło tylko o to by na dokumencie ryskim, istotnie historycznym, figurowało na pierwszem miejscu nazwisko jego, a nie Sapiehy.

Tak wygląda w moich wspomnieniach, jako ówczesnego kierownika wydziału wschodniego ministerstwa spraw zagranicznych, „największa decyzja życia" Dąbskiego.

Na nieustalonej wersji tej decyzji i własnych przypuszczeniach p. Pragier opiera twierdzenie, że Piłsudski jeszcze w trakcie rokowań pokojowych z Rosją chciał kontynuować wojnę. To naprawdę bardzo nieostrożna metoda stwierdzania prawd historycznych.

Myślę, że powaga pewnych tematów powinnaby skłonić nas do bardzo ostrożnego posługiwania się wspomnieniami, zwłaszcza jako argumentami przy konstruowaniu tez, zabarwionych tak wyraźnie „wishful thinking". Omylność świadków naocznych, a nawet koronnych, jest prawie przysłowiowa.

JULJUSZ ŁUKASIEWICZ.

SKŁADY APTECZNE • DROGERJE

PROSIMY wszystkich Polaków przebywających w Anglji aby zwracali się z zaufaniem osobiście lub drogą pocztową z receptami i z wszelkiemi zapotrzebowaniami farmaceutycznemi lub medycznemi do składów aptecznych:

John Bell & Croyden, 50/52, Wigmore Street, W.1
(służba dzienna i nocna)
Wm. Martindale, 75, New Cavendish Street, W.1
Wallas & Co., 45, New Cavendish Street, W.1

wszystkie pod ścisłą kontrolą

SAVORY & MOORE LIMITED
Aptekarzy Jego Królewskiej Mości
143, New Bond Street
LONDON W.1

W najbliższym czasie ukaże się

T. W. MAC CALLUM

NAUKA ANGIELSKIEGO

szybko, łatwo i przyjemnie

DR. TYTUS BENNI

ORTOFONJA ANGIELSKA

podręcznik wzorowej wymowy oraz słownik fonetyczny

M. I. KOLIN (Publishers) LTD., 229-231, High Holborn, London, W.C.1

ROZMAITOŚCI

Już oddawna Szkoci cierpią w milczeniu spowodu nadużywania nazw „Anglja" i „Anglicy", zamiast poprawnego określenia „Wielka Brytanja" i „Brytyjczycy". Jednym z większych nietaktów niemieckich jest też hasło „Gott strafe England". Szkoci wiedzą, że „England" obejmuje w tym wypadku także Szkocję, i uważają to za kamień obrazy. Świeżo jednak przepełnił się kielich goryczy, i Szkoci zaprotestowali w sposób energiczny. W jednej z depesz wojennych z Libji znalazło się mianowicie wyrażenie: „w akcji brały udział formacje brytyjskie i szkockie". Posypały się głosy protestu, z których kilka znalazło się nawet na łamach „Times"a. Jeden ze Szkotów wyraża zdziwienie że nie wprowadzono jeszcze określenia „Wolni Szkoci" na wzór „Wolnych Francuzów", Duńczyków czy Rumunów.

*

Z Berlina nadeszła zdumiewająca wiadomość: eskadra samolotów *włoskich* (a zatem 3 do 7 samolotów) starła się w Libji z 30 samolotami brytyjskiemi, zestrzeliła 6 a resztę zmusiła do ucieczki.

Sami Włosi wstydzili się ogłosić podobną brednię.

*

Bez reklamy, niemal niepostrzeżenie, lotnicy transatlantycy ustanawiają nowe rekordy. Kilka dni temu bombowiec typu Liberator przeleciał północny Atlantyk w osiem godzin z minutami.

Niemal równocześnie nadeszła wiadomość o czterech lotnikach, którzy w 36 i pół godzin po starcie z Ameryki do Europy, znaleźli się ponownie po drugiej stronie Atlantyku. W ciągu pierwszej nocy przelecieli oni z Nowej Fundlandji do Wielkiej Brytanji, wieczorem zaś wystartowali z powrotem, tym razem jako pasażerowie. Lotnicy ci zajęci są pilotowaniem bombowców amerykańskich do Anglji. Ich „wizyta" w Wielkiej Brytanji trwała niespełna 10 godzin, a w 26 godzin lotu przebyli oni odległość około 8000 km.

*

Minister wyżywienia, lord Woolton, martwi się, że ludność Wielkiej Brytanji nie lubi marchewki. Jest to zdrowa jarzyna, zawiera tyle witamin, tak łatwo ją przyrządzić — a jednak Anglicy i Szkoci traktują ją pogardliwie. Minister postanowił zorganizować kampanję propagandową, w której posługiwać się będzie nielada bronią: Walt Disney, twórca Donalda Ducka i innych „gwiazd" ekranu, tchnął życie w marchewkę, a właściwie w trzy marchewki, i stworzył całą rodzinę Marchewek, które zachęcają nas do spożywania tej jarzyny. Wkrótce pojawią się specjalne afisze propagandowe, ozdobione rysunkami Disneya.

*

Opowiadają że pewien lotnik polski, którego maszyna została uszkodzona podczas walk w Libji, musiał lądować na pustyni. Pilot spodziewał się, że czeka go długi marsz do najbliższej bazy brytyjskiej. Jakież było jego zdziwienie, gdy po chwili do samolotu podjechał samochód. Zdziwienie wzrosło, gdy z samochodu wysiadła kobieta, doszło zaś do najwyższych granic, gdy przemówiła ona do lotnika po polsku.

Była to Ewa Curie, która jest korespondentką wojenną w Libji

*

W Chicago rozgorzała zacięta wojna prasowa. Dotychczas największym dziennikiem tego miasta była „Chicago Tribune", organ izolacjonistów. Jest to doskonale redagowane pismo, i żaden dziennik prorooseveltowski nie mógł wytrzymać jego konkurencji. Obecnie znalazł się jednak człowiek, który rzucił wyzwanie „Chicago Tribune". Miljoner Marshall Field III postanowił założyć pismo liberalne i probrytyjskie. Zaczęło ono wychodzić p.n. „Chicago Sun".

Field włożył ogromny kapitał w dziennik i nie szczędzi wysiłków aby postawić go na możliwie wysokim poziomie. Wśród współpracowników znalazł się m.in. Knickerbocker, jako główny korespondent zagraniczny. Przez pewien czas „Chicago Sun" ukazywało się w nakładzie 1000 egzemplarzy, które nie były oczywiście kolportowane. Po kilku tygodniach takiego eksperymentalnego żywota pismo, już w doskonałej formie, trafiło do rąk publiczności.

*

Czarownicy murzyńscy w Kongo Belgijskiem nie lubią Hitlera. Od pewnego czasu rzucają na niego bez przerwy najstraszliwsze klątwy i czary oraz błagają nie mniej niż 401 bogów o rychłą śmierć potwora.

*

W Ameryce ukazała się książka Fritza Thyssena, który twierdzi że dał się oszukać Hitlerowi i oddał do jego rozporządzenia miljon marek. Thyssen maluje ogromnie naiwny autoportret: wynika z niego że Thyssen bez przerwy padał ofiarą złych ludzi.

*

Rząd niemiecki zakazał wyrobu monokli, które uznano za artykuł zbytku. Musi to być poważny cios dla oficerów niemieckich. Inna rzecz, że monokl nie jest wynalazkiem niemieckim lecz holenderskim. Przedstawiciel Niderlandów na kongresie wiedeńskim, Jonkheer Breele, był pierwszym mężczyzną który pojawił się z monoklem w oku, budząc powszechną sensację.

*

Ambasador włoski w Waszyngtonie nosi piękne nazwisko: Quinto Colonna. Jeden z dziennikarzy zwraca uwagę, że w tłumaczeniu brzmi to: Piąta Kolumna...

ALFA.

Ukazała się broszura

Stanisława Mackiewicza (Cata)

GRUDZIEŃ 1941

Treść

Polacy w Rosji sowieckiej. — Wiadomości z Kraju. — Sytuacja już dojrzała. — O co gramy i czem gramy. — Nieogłoszona rezolucja. — Do czego służy monopol prasy rządowej. — Niech nie wie prawica co wydaje lewica. — Dzień 11 listopada. — Uwagi o broszurze „Boje polskie". — Korespondencja.

cena **2s.**

EUROPA POD PANOWANIEM HITLERA*)

Eksploatacja Europy okupowanej przez Hitlera przeprowadzana jest według następującego planu: a) przymusowe przesyłanie siły roboczej z krajów podbitych do Niemiec; b) obniżka płac, dłuższe godziny pracy na terytorjach okupowanych; c) nałożenie na kraje okupowane ciężkich podatków i kontrybucyj; d) konfiskaty mająków; e) zakupy w krajach okupowanych po kursie pieniądza ustalonym przez Niemcy; f) rujnujący system kredytowy.

Ogółem na terenie Rzeszy pracuje przymusowo około dwóch miljonów cudzoziemców (w tej liczbie i jeńcy wojenni, zatrudnieni przeważnie na roli). Polacy stanowią połowę tej liczby — pracuje ich przeszło miljon, przyczem traktowani są nieludzko, a płaca ich wynosi równowartość około 25 szylingów miesięcznie, plus strawa. Robotnicy cudzoziemscy stanowią 10% ogólnej liczby zatrudniowych w Niemczech i przysparzają Rzeszy około £250—300 miljonów rocznego dochodu.

Kraje Europy zachodniej pokrywają koszty okupacji w stosunku około £12 rocznie na głowę. (Jeżeli porównamy tę cyfrę z cyfrą £2 na głowę, którą płacić miały Niemcy tytułem odszkodowania za ostatnią wojnę, we właściwem świetle wystąpi i ta krzywda Niemiec!). W części Polski przyłączonej do Rzeszy ludność płaci, prócz zwykłych podatków, jeszcze i 15% podatku wyrównawczego — ogółem £115—140 miljonów. W sumie Niemcy z krajów okupowanych wyciskają rocznie do miljarda funtów, czyli ponad jedną piątą ich ogólnego dochodu narodowego.

Niezależną od podatków pozycję zajmują konfiskaty majątków prywatnych, sięgające miljardów funtów. Niemcy kupują od krajów okupowanych więcej niż te kraje chciałyby sprzedawać — po cenach od 15% —40% niższych niż ceny rynkowe; z tego jeszcze za około £200 miljonów — na kredyt. W wyniku tej gospodarki Rzesza na cele wojenne przeznacza od miljarda do półtora miljarda funtów rocznie, czerpanych z majątku narodów podbitych.

*) Europe Under Hitler. In Prospect and in Practice. Londyn, The Royal Institute of International Affairs, 1941; str. 44 i 4nl.

POLSKIE PŁYTY GRAMOFONOWE

pieśni, kolędy, muzyka instrumentalna, recytacje, pogadanki, słuchowiska

do nabycia w księgarniach

M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

9, New Oxford Street, London, W.C. I. 28, King Edward Street, Perth, Scotland

CAMERA OBSCURA

Zwracamy się do czytelników „Wiadomości Polskich" z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura", która ma na celu wytykanie wszelkiego rodzaju nonsensów, objawów ignorancji, niechlujstwa językowego, błędów stylistycznych i t.p., a to w celu, by „ridendo castigare mores... linguae". Prosimy o przysyłanie wszelkiego rodzaju materjałów, jak broszury, ulotki, czasopisma polskie (całe numery lub wycinki nie pozostawiające wątpliwości skąd pochodzą) z ustępami nadającemi się do „Camera obscura", pod adresem „Polish News", 229-231, High Holborn, London, W.C.1, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są konieczne. Do przesyłki należy dołączyć kartkę z imieniem, nazwiskiem i adresem wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materjału i zastrzega sobie prawo zużytkowania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz redakcja przeznacza co tydzień nagrodę w wysokości £1, którą może podzielić lub w razie braku odpowiedniego materjału przełożyć na następny tydzień.

*

W ubiegłym tygodniu nagrodę £1 otrzymał p. *K. Herbich, 32, Wilton Road, Edinburgh, 9*, za wycinek z „Dziennika Polskiego".

M.K. Z LONDYNU CONTRA M.K. Z TORUNIA

W artykule wstępnym M.K. w nr. 425 „Dziennika Polskiego" czytamy:

Tak samo jak w naszych dniach powszednich często mówimy o kierunkach wiatru, o chmurach i deszczach, a nigdy o biegu słońca, bo ono stale, niezmiennie, dzień po dniu, przemierza drogę tę samą.

Shiels

krawiec cywilny, wojskowy i lotnictwa

16, SACKVILLE STREET, W.1

Tel.: REGent 2289

Czytelnicy o „Wiadomościach Polskich"

W. B.: Każdy numer „Wiadomości", to ożywczy strumień świeżego powietrza wpuszczony do zatęchłej atmosfery, jaka panuje wśród naszej emigracji.

W. C.: Składam serdeczne „Bóg zapłać" za „Wiadomości Polskie", szczególnie za... artykuły Pana Redaktora, oraz za „Wolę Polski" p. Matuszewskiego... Proszę o przyjęcie bezimiennie £1 do uznania... Pana Redaktora*).

K. J.: ...nawet najzaciętsi abstynenci słowa drukowanego — kupują Pana pismo, lubią je i cenią. Zdaje się, że jest to wielki sukces, jeden z nielicznych odniesionych na tej ziemi.

S. K.: Celem tego listu nie jest tylko wyrażenie pełnego uznania dla „Wiadomości Polskich". Uważałem je zawsze za wzór pisma literackiego, do którego żadne inne krajowe czy zagraniczne nigdy się nie „umyło". Dzisiaj jednak spełniają „Wiadomości Polskie" rolę bez porównania ważniejszę niż niegdyś „Wiadomości Literackie". Dzisiaj na obczyźnie są one dla nas, młodego pokolenia w wojsku, czemś o wiele więcej, awangardą nowej myśli polskiej, która walczy z grzechami przeszłości — odwaga cywilna Pana Redaktora, pp. Pruszyńskiego, Pragiera, Słonimskiego i tylu innych dodaje nam otuchy że może przecież... nowa Polska będzie państwem naprawdę demokratycznem...

Dr. K. L.: ...wiele serdecznych i gorących powinszowań za dotychczasową postawę i linję „Wiadomości"...

Dr. S. L. w Bogocie (Columbia): ...„Wiadomości"... dochodzą nawet w te tak dalekie i mało znane strony, a co więcej... są z prawdziwem uznaniem i zainteresowaniem... od deski do deski czytane. „Wiadomości" dzięki swemu wysokiemu poziomowi i swoim tendencjom są tu bardzo bliskie całej małej grupie Polaków.

A. Ł.: Jak wszyscy, dziękuję Panu za wszystko co od kilku miesięcy Pan pisze — za artykuł Matuszewskiego i wiele innych — za to że nie za wszystko, co się tu drukuje, będziemy się wstydzili w Kraju.

Ks. bp. J. M. w Scranton: ... z ks. biskupem Hodurem czytamy „Wiadomości Polskie" — od deski do deski — a przedewszystkiem artykuły Pana Doktora, Jego odważne wypowiedzenia się w sprawach żywotnych Polski.

W. O.: „Wiadomości Polskie" są bezsprzecznie najlepszem pod każdym względem pismem polskiem i mają duży wpływ na czytelników i poważny u nich mir. Pismo to było pierwsze które poruszyło niezmiernie ważne zagadnienia gospodarcze i przemysłowe.

J. Ł. P.: Łączę wyrazy życzliwości dla „Wiadomości" z życzeniami rozwoju dla nadwyraz potrzebnej „Camera obscura".

Z. S.: Artykuł Zbyszewskiego „Amerykanie! Na co czekacie?" w nr. 89 „Wiadomości" świetny, w stylu Łozowskiego, mistrza propagandy sowieckiej.

L. W.: Tak Pan porządnie napisał rozmowę z naszym kochanym profesorem Grabskim, że muszę Panu podziękować... „Wiadomości", to mój dobry niedzielny chleb... Przyłączam mój głos do ogólnych domagań się broszurki „Wola Polski" Matuszewskiego po polsku i angielsku. Załączam 10s. na Fundusz Prawdziwej Kultury Narodowej*).

*) Przekazaliśmy na stypendjum im. sierżanta Jerzego R.

BRYLANTY ZDROŻAŁY O 75%

PŁACIMY NAJWYŻSZE CENY W LONDYNIE ZA BRYLANTY, ZŁOTO (168/- ZA UNCJĘ)

Biżuterje, klejnoty, kamienie szlachetne, srebro, platery antyki i kosztowności wszelkiego rodzaju. Gotówka natychmiast. Rząd J. K. Mości przejmuje całe zakupywane przez nas złoto. Prosimy o odwiedzenie nas lub zgłoszenia przesyłkę poleconą.

LINDEN & CO., 85, New Bond Street, London, W.1

PIERWSZY SKLEP JUBILERSKI PRZY NEW BOND ST.

STRATTON STREET PICCADILLY, W.1.

Phone: MAYFAIR 7807-9

Le Coq d'or Restaurant

MAISON FRANÇAISE

pod osobistem kierownictwem

pp. HENRY SARTORI I E. BERHAUD

Sala restauracyjna, większe i mniejsze sale bankietowe

POLKI ODWIEDZAJĄ SALON FRYZJERSKI

LUIGI, 46, Buckingham Palace Rd., S.W.1

Mówi się po angielsku, francusku, włosku i niemiecku

Prosimy o zapowiedź telefoniczną pod VICtoria 9508

Najbliższy (gwiazdkowy) numer „Wiadomości Polskich" ukaże się dn. 16 grudnia jako numer podwójny (z datą 28 grudnia) w zwiększonej objętości 12 stron druku. W numerze m. in.: konkurs z nagrodami p.n. „Czy znasz Polskę?", kolumna rysunków **Feliksa Topolskiego** „Z.S.R.R. w wojnie", **Stanisława Balińskiego** „Rzecz sumienia", **Arkadego Fiedlera** „Wróg tańczy taniec śmierci" (z cyklu „Dywizjon 303"), **Zygmunta Nowakowskiego** „Polonez", **Marji Pawlikowskiej** „Szkicownik poetycki", **Aleksandry Piłsudskiej** „Wspomnienie o Prystorze", **Ksawerego Pruszyńskiego** „Dwadzieścia lat młodych", **Sir Roberta Vansittarta** „O Niemcach" (w przekładzie **Florjana Sokołowa**), **Melchjora Wańkowicza** „Biały śnieg". W „Skarbnicy Polskiej" „Puszcza jodłowa" **Stefana Żeromskiego** (ilustracje **Władysława Skoczylasa**).—Cena numeru **1s. 6d.**

ZAGADNIENIE OGRANICZEŃ ODZIEŻOWYCH ROZWIĄZAŁA FIRMA

JONES, CHALK & DAWSON Ltd.

krawcy wojskowi, cywilni i lotnictwa

6 SACKVILLE ST., PICCADILLY

LONDON, W.1. Tel. REGent 0656

Najlepsza jakość materjału, a co najważniejsze, wzorowy angielski krój zapewnia prawdziwą elegancję i trwałość; dzięki temu nie dają się nam we znaki ograniczenia kuponowe

.... A TYMCZASEM ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU PRZY DŹWIĘKACH PŁYT DECCA

W poprzednim numerze (91) „Wiadomości Polskich" (4 ilustracje): Rozstrzygnięcie konkursu „Wiadomości Polskich" na wojenny pamiętnik żołnierski. — *Adam Pragier:* Linja Curzona. — *Marja Kuncewiczowa:* Klucz rzucony w morze. — *Stanisław Mackiewicz:* Henri Rochefort. — *Antoni Bogusławski:* Bajki i satyry Jana Lemańskiego. — *Janusz Laskowski:* Głos wilka ze stepów Turanu. — *Zbigniew Grabowski:* Ważkie miesiące. — *Helena Heinsdorf:* Za kulis osi. — Nauka i ład świata. — Polacy u Żydów. — *Alfa:* Rozmaitości. — Camera obscura. — Skarbnica Polska. *Stefan Żeromski:* Nowa Warszawa. *Kazimierz Brodziński:* Święta nasza sprawa. *Stanisław Brzozowski:* Eliza Orzeszkowa.

KORESPONDENCJA

TYRANJA SŁÓW

Do redaktora „Wiadomości Polskich"

Pod tytułem „Tyranja słów" ukazała się na rok przed wojną ciekawa książka amerykańskiego autora o uczuciowem poddawaniu się sugestji pewnych słów i o wynikającem z tego pomieszaniu pojęć. Książka ta przyszła mi na myśl po przeczytaniu artykułu Ignacego Matuszewskiego p.t. „Wola Polski" w nr. 82 „Wiadomości Polskich", który opinja polska w Anglji przyjęła z niezrozumiałym dla mnie wybuchem entuzjazmu.

Mimo wrodzonej silnej pobudliwości do wzruszeń emocjonalnych, zdołałem dzięki długoletniemu pobytowi wśród rozsądnych Anglosasów wyzwolić się spod tyranji słów i nauczyłem się oceniać sprawy i rzeczy przy pomocy zdrowego rozsądku. I czytając artykuł Matuszewskiego o sprawie polskiej w Anglji, czułem ulgę na myśl, że Anglicy nigdy tego artykułu nie przeczytają. Dlatego też ogłoszenie o mającym się ukazać przekładzie angielskim artykułu „Wola Polski" przejęło mnie poważnemi obawami.

Mam wysokie wyobrażenie o talencie publicystycznym Matuszewskiego. Nie mam natomiast najmniejszego zaufania do jego sądów. Pamiętam serję jego doskonale napisanych artykułów w Gazecie Polskiej w r. 1935, p.t. „Co i jak", broniących z wielką swadą katastrofalnych dla Polski tez gospodarczych, na które odpowiedziałem — niedokończoną spowodu konfiskaty — serją artykułów w „Kurjerze Porannym" p.t. „Ku czemu Polska idzie". Ale do tego stopnia nie miałem żadnych uprzedzeń do autora artykułu „Wola Polski", że gdy w r. 1940 wydawałem po angielsku biuletyn „News from Poland", w okresie inwazji norweskiej zamieściłem in extenso starannie przetłumaczony artykuł Matuszewskiego p.t. „Wymowa milczenia", wzięty z paryskiego „Słowa", narażając się mimochodem naszym czynnikom w Angers.

Sądzę więc, że nikt nie posądzi mnie dziś o złą wolę w stosunku do Matuszewskiego, jeśli wydanie angielskie jego artykułu p.t. „Wola Polski" nazwę złą przysługą oddaną sprawie propagandy polskiej. Argumenty, zawarte w tym artykule, muszą wywołać w opinji angielskiej skutek wprost przeciwny zamierzonemu. Mieszkam w Anglji od lat przeszło dwudziestu i z racji mojej pracy, zarówno dziennikarskiej jak propagandowej, poznałem dobrze psychologję i umysłowość angielską. Z Polaków w Anglji mam więc chyba dość autentyczne kwalifikacje do oceny kwestyj propagandowych. Nie waham się stwierdzić, że tak teza ogólna jak i poszczególne argumenty Matuszewskiego muszą nastroić Anglików nieprzychylnie dla sprawy polskiej.

Zajmijmy się naprzód niektóremi z argumentów. Matuszewski pisze, że w rozmowie z Hamiltonem Armstrongiem (Fishem) powiedział mu przed dziesięciu laty: „Przez Pomorze biegnie droga do hegemonji Niemiec nad światem". Jest to twierdzenie, które przy całej swej słuszności z polskiego punktu widzenia może na nas ściągnąć zarzut megalomanji. I słusznie. Bo dlaczego „przez Pomorze"?—pomyśli Anglik. Dlaczego nie przez Pragę czy Paryż? Tak samo dobrze mógłby Słowak powiedzieć, że „przez Bratysławę biegnie droga do hegemonji Niemiec nad światem". Boć przecie od Bratysławy się zaczęło.

W innem miejscu pisze Matuszewski: „Czy nie jest ironją, że po latach „wątpliwości", Anglja dobyła miecza, by bronić polskich praw do Pomorza?". Taki argument wysuwała propaganda niemiecka w r. 1939, chcąc przekonać opinję angielską, że nie opłaci się Anglji dobywać miecza w obronie praw Polski do Pomorza, chociaż Niemcy najlepiej wiedzieli, że nie o Pomorze im chodzi. Dziś, w październiku 1941 r., argument ten, podawany opinji angielskiej przez Polaka, nie wytrzymuje krytyki.

Matuszewski pisze: „W istocie bowiem —jak od wielu wieków przedtem, a od w. XV już niepodzielnie — tak w w. XX znów Polska stała się ośrodkiem oporu wszystkich tych ludów przeciw naciskowi ze wschodu i z zachodu. Z jej upadkiem — i ich wolność rozpłynęła się jak dym". Jest to historycznie nieprawda. Polska *powinna była być* takim ośrodkiem oporu na obszarze Europy leżącym między Niemcami a Rosją, ale niestety, nim nie była. Nie tylko „wszystkie te ludy", ale Polska sama padła z upadkiem Czechosłowacji. Jest kwestją najwyższej wagi byśmy nareszcie zrozumieli, że *niepodległość Czechosłowacji była warunkiem niepodległości Polski*. Pogwałcenie tej prawdy, udział Polski w rozbiorze Czechosłowacji, był zbrodnią popełnioną przez polską politykę zagraniczną, przy akompanjamencie hurrapatrjotycznego pomieszania pojęć i wynikającego z niego oficjalnego entuzjazmu w dniu klęski narodowej, jakim był dzień zajęcia Zaolzia. Nie jest to mądrość, do której jako Polak doszedłem po szkodzie. Dosłownie to samo głosiłem publicznie w całym okresie kryzysu sudeckiego, a jako zdeklarowany czechofil odwiedziłem w r. 1935 Pragę, by w miarę moich bardzo skromnych możliwości poprawiać stosunki, za co ówczesny nasz poseł w Pradze ścigał mnie depeszami szyfrowemi, wysyłanemi na Wierzbową. Mam więc niezaprzeczone prawo moralne do stwierdzenia tej prawdy raz jeszcze na tem miejscu.

Możnaby tego rodzaju błędnych argumentów przytoczyć więcej. Chodzi jednak o coś ważniejszego. Matuszewski w wywodach swoich o Anglji opiera się na niefortunnym artykule „Times"a i wyciąga z niego daleko idące wnioski o niebezpieczeństwie grożącem Polsce. A przecież niema żadnego powodu przypuszczać, że autor artykułu „Times"a, dobrze nam znany prof. Carr, będzie miał większy wpływ na układ powojenny Europy, aniżeli genjalny przywódca angielski Winston Churchill. A premjer brytyjski myśli inaczej, aniżeli prof. Carr, i myślom swym dał wielokrotnie wyraz w słowie i piśmie.

Matuszewski nie zorjentował się widocznie dotąd, że *wojna obecna toczy się o rozwiązanie kwestji niemieckiej w Europie*. Nie o Pomorze, Śląsk, Sudety czy Alzację, ale o Niemcy. Przypominanie lorda Curzona czy Lloyd George'a dziś, gdy Anglja prowadzi walkę na śmierć i życie i zagrożeniem śmiertelnem swego własnego istnienia płaci za kapitalne błędy swej polityki równowagi sił, opartej na straszliwej pomyłce popełnionej dn. 11 listopada 1918 r., to wywalanie otwartych drzwi*). Obrona praw Polski do Pomorza, Śląska czy kresów wschodnich nie jest w obecnej fazie wojny najważniejszem zadaniem propagandy polskiej w Anglji.

Każdy, kto czujnie śledzi objawy angielskiej opinji publicznej, zdaje sobie sprawę, że w opinji tej istnieją pewne rozdźwięki właśnie w kwestji niemieckiej, w kwestji przyszłości Niemiec. Coraz szerzej przyjmuje się pogląd, że wszyscy Niemcy, nawet ci w Argentynie, są hitlerowcami i że po rozgromieniu Niemiec konieczne będzie uwzględnienie tej prawdy przy organizacji nowej Europy. Wyznawcy tezy przeciwnej, wierzący zawsze jeszcze w istnienie innych, „dobrych" Niemców, stają się coraz mniej liczni. Polacy w Anglji mogą odpowiednią propagandą przyczynić się do dalszego zaniku liczby tych szlachetnych humanitarystów angielskich, którzy z uporem wypatrują w bestji niemieckiej człowieka. Ale nie może to być propaganda w stylu patrjotycznej demagogji Matuszewskiego. Z faktu że kwestja niemiecka dominuje nad wszystkiemi innemi kwestjami europejskiemi, zdrowy rozsądek wyciąga odpowiedni wniosek propagandowy co do sposobu trwałego rozwiązania tej kwestji. Zamiast ukazywać się Anglikom w tragicznej pozie Reytanów, co może przysporzyć Polsce najwyżej emocjonalną przyjaźń kilku starych panien angielskich, należy Anglikom i — co nie mniej ważne — Amerykanom spokojnie i rozumowo wpajać przekonanie, że *od rozwiązania kwestji niemieckiej po wojnie zależeć będzie trwałość pokoju europejskiego. Że przy największym humanitaryźmie, wzgląd na całą ludzkość przeważa wszelkie względy, jakie możnaby po wojnie okazać Niemcom. Że z uwagi na brutalną i okrutną naturę niemiecką, która z tej wojny wyjdzie jeszcze bardziej zezwierzęcona, utrzymanie jednolitego państwa niemieckiego, zamieszkałego przez 70 miljonów upodlonych ludzi, nie da się pogodzić z ustanowieniem trwałego pokoju w Europie. Czyli że warunkiem trwałego i sprawiedliwego pokoju jest rozbicie niemieckiej organizacji państwowej*. To wystarczy. Wtedy już ani o Śląsku ani o Pomorzu, ani o Prusach Wschodnich nie trzeba będzie Anglikom nic mówić. Odwoływanie się do moralnych praw Polski, Anglików ani ziębi ani grzeje. Poprostu dlatego, że genjusz tego narodu nie dopuszcza, by zasady moralne, jakiemi się kieruje, wchodziły w konflikt z jego interesami politycznemi. Tego właśnie musimy się od Anglików nauczyć. I jeśli będziemy domagali się rozbicia organizacji państwowej Niemiec, to nie dlatego by „zagrabić" Prusy Wschodnie, ale by na przyszłość uchronić ludzkość od trzeciej wojny niemieckiej. Gdy tę zasadę moralną wpoimy Anglikom, interes materjalny w postaci powrotu do Polski Prus Wschodnich z pewnością nie ucierpi.

I na tem powinniśmy się opierać w rozmowach z naszymi angielskimi sprzymierzeńcami, którzy, jeśli polityką swoją w ciągu dwudziestolecia między obu wojnami niejednokrotnie szkodzili Polsce, w nie mniejszym stopniu szkodzili sobie samym i którzy dla odrobienia tych błędów rzucili dziś na szalę losy swego wielkiego imperjum.

FRANCISZEK BAUER-CZARNOMSKI.

*

J. A. Myli się Pan całkowicie. Wyszła broszura p.t. „Odwet", zawierająca fragment „Sumy teologicznej" św. Tomasza z Akwinu. Tomasza z Akwinu, nie Tomasza z Kempis.

Z. S. Książka Fiedlera nie ukaże się, niestety, przed świętami.

S. K. Prosimy o przeczytanie „Listów perthkich" w nr. 89 „Wiadomości Polskich".

POULSEN, SKONE & CO.

Specjaliści w wyrobie znanych bucików „Veldt" dla lotnictwa

12, DUKE STREET, ST. JAMES'S, LONDON i 48, HIGH STREET, OXFORD

J. LANGER — POLSKI KUŚNIERZ

dawniej pracownia w Katowicach

Wykonywa futra NOWE i przeróbki wszelkiego rodzaju. Specjalne udogodnienia dla prowincji.

59, KNIGHTSBRIDGE, S.W.1

Telefon: SLO 3626

A. ERNSTER & SYN

Krawiectwo wojskowe i cywilne najwyższej klasy

168, Regent Street, Ulster Chambers, London, W.1 *Tel.: REGent 2385*

Kwiaciarnia **EDWARD GOODYEAR**

45, Brook Street, W.1

(obok hotelu Mayfair, tel. MAYfair 1508)

Piękne kwiaty cięte, kosze i rośliny w doniczkach na Boże Narodzenie i Nowy Rok. Dostawy do wszystkich miejscowości w Zjednoczonem Królestwie.

Skrzynk z kwiatami ciętemi od **21**—Rośliny w doniczkach od **12/6**—Kosze z krzewami jesiennemi od **10/6**.

Gotówka przy zamówieniu.

Redaktor: ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Printed in Great Britain for M. I. Kolin (Publishers), Ltd., by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, E.C.2; Published every Tuesday at 229/231, High Holborn, London, W.C. 1.

NOWOŚĆ!

Nakładem Bibljoteki Wolnej Polski (nr 3)

EDWARDA PUACZA

PO ZLIKWIDOWANIU RADY I BEREZY

cena 1/3

Skład główny w księgarni Towarzystwa Polskiego, 15, Parkway, London, N.W.1

Do nabycia we wszystkich księgarniach polskich i w kioskach



L'AUBERGE DE FRANCE

Tel. WHitehall 7361

naprzeciwko London Pavilion, Piccadilly Circus, W. 1

OBIADY (przy dźwiękach orkiestry) **4/6**

LUCIEN SAMETT zabawia gości anegdotkami

CODZIENNIE TEA - DANCING 4—6

Słynna orkiestra jazzowa HAPPY BLAKE

CO WIECZÓR DINNER - DANCE 7 — 12

Zabawy na Boże Narodzenie i Nowy Rok. Podarunki dla każdego gościa

OXFORD CITY AND THE UNIVERSITY

Wiadomości Polskie

THE POLISH NEWS
WEEKLY

POLITYCZNE I LITERACKIE
TYGODNIK

FLORJAN SOKOŁÓW

OXFORD I CAMBRIDGE

Oxford czy Cambridge? Cambridge jest trochę młodszy, nie o wiele, bo obie te dostojne uczelnie założone zostały w w. XII. Ale ta drobna różnica sprawia, że Oxford wymieniany jest na pierwszem miejscu. Nie znaczy to, że zawsze zdobywał palmę pierwszeństwa w nauce lub w sportach, albowiem na tem polu oba uniwersytety rywalizują bodaj zawzięciej niż na innych, przyczem w ostatnich dekadach Cambridge może się poszczycić znaczniejszą ilością rekordów. Ala taka się już ustaliła tradycja. Pozatem, jeśli chodzi o liczbę college'ów, katedr, fundacyj, wreszcie o rozgłos poza granicami Anglji, Oxford przez długie wieki trzymał prym.

Anglja ma kilkanaście uniwersytetów. Młodzież jej może zdobywać wiedzę na innych doskonałych uczelniach, w Londynie, Manchesterze, Liverpoolu, w starych uniwersytetach Szkocji, St. Andrews, Edynburgu, Glasgow, bardziej dostępnych dla szerokich warstw społeczeństwa. Ale Oxford i Cambridge wyróżniały się zawsze swym nieskalanym stylem, autorytetem naukowym i sportowym, pozycją społeczną. Tam w ciągu stuleci kształcił się kwiat młodzieży angielskiej, tam powstawały wielkie prądy religijne i umysłowe, stamtąd wyszła elita tych, którzy zbudowali Imperjum Brytyjskie, tam urabiał się typ reprezentacyjny gentlemana angielskiego. Podkreślić bowiem należy, że te dwie najstarsze uczelnie nie tylko uczą, lecz i wychowują w swoich college'ach, gdzie studenci mieszkają razem i spędzają lata studjów i sportów pod opieką „tutor"ów, którzy dbają nie tylko o ich postępy w nauce, lecz i o wyrabianie charakterów. To bliskie współżycie wytwarza „esprit de corps" każdego college'u i całego uniwersytetu, specyficzną atmosferę, która wycisnęła piętno na szeregu pokoleń sfer rządzących, intelektualnych i zawodowych.

Z biegiem czasu ekskluzywność obu uczelń znacznie osłabła. Napływać tam zaczęły zastępy młodzieży nie tylko z rodzin arystokratycznych i z bogatej burżuazji, nie tylko z „public schools", lecz stypendystów innych szkół średnich, którzy odznaczyli się celującą postępami.

Dzieje obu uniwersytetów nie pozostały bez wpływu na pewne różnice między niemi, które niełatwo określić. Niegdyś Oxford był podporą tronu Stuartów, Cambridge — ostoją reformacji i purytanizmu, Oxford był po stronie Karola I, Cambridge popierał parlament i Cromwella, swego wychowanka. Za czasów dynastji hanowerskiej Oxford był twierdzą torysów, Cambridge — whigów. W w. XIX Oxford zdradzał większą wrażliwość na nowe prądy ideowe, idące z kontynentu Europy, Cambridge natomiast był bardziej dla nich niedostępny i wyspiarski. Ktoś nazwał umysłowość Oxfordu sofistyczną, a Cambridge'u — stoicką.

Oba uniwersytety wydały wielu znakomitych Anglików. Oxford bardziej zasłynął w dziedzinie nauk teologicznych, filologji klasycznej, literatury, prawa i wogóle wiedzy humanistycznej, oraz całą plejadą wielkich mężów stanu, jak Gladstone, Canning, Charles Henry Fox i t.d. Kardynał Newman, twórca ruchu religijnego „Oxford Movement", Samuel Johnson, Matthew Arnold, Ruskin byli jego wychowankami. Cambridge może się poszczycić szeregiem największych uczonych angielskich, jak Newton, Darwin, Maxwell, Rutherford, poetów, jak Milton, Byron, Tennyson, historyków, jak Macaulay, a nie brak było wśród jego wychowanków i wielkich mężów stanu, jak Pitt, Walpole, Castlereagh i t.d. Podczas gdy Oxford w dalszym ciągu wyróżnia się wysokim poziomem nauk humanistycznych, Cambridge kontynuuje wielkie tradycje wiedzy ścisłej, zwłaszcza w fizyce i naukach przyrodniczych (wśród jego profesorów jest pięciu laureatów Nobla).

Jeśli chodzi o zabarwienie polityczne młodzieży, różnica pomiędzy Oxfordem a Cambridge niemal zupełnie się zatarła, a nawet zachowawczy niegdyś Oxford zdystansował swym radykalizmem Cambridge.

Kilka lat temu dużo hałasu narobiła uchwała „Oxford Union", najbardziej reprezentacyjnej instytucji studenckiej tego uniwersytetu, czegoś w rodzaju parlamentu studenckiego, gdzie młodzież ćwiczy się w krasomówstwie dla przyszłej karjery politycznej. Otóż parlament ten uchwalił znaczną większością „nie walczyć w obronie króla i ojczyzny". Opinja konserwatywna nie mogła się uspokoić. „Czerwony Oxford" wydawał się jej czemś niesłychanem. Już prędzej można byłoby się tego spodziewać od „London School of Economics", uniwersytetu w Manchesterze, w Glasgow i t.d., ale nie od Oxfordu. Alarm był mocno przesadzony. Kluby dyskusyjne Oxfordu często uchwalały ekscentryczne rezolucje. W danym wypadku, mimo swych pozorów antypatrjotycznych, uchwała ta miała na celu jedynie zamanifestowanie protestu przeciw wojnie, i nie ulegało najmniejszej wątpliwości jak postąpią studenci z Oxfordu, jeśli wojna naprawdę wybuchnie. Jeszcze większym nonsensem było wówczas posądzanie „Oxford Union" o komunizm. Istniała wtedy wśród studentów Oxfordu grupa komunistów „October Club", lecz nie brała ona udziału w głosowaniu i wogóle patrzyła z pogardą na różnych pięknoduchów i sentymentalnych pacyfistów.

Ale faktem jest, że ideowa młodzież angielska, nie tylko w Oxfordzie i Cambridge, usposobiona jest radykalnie i w większości swej skłania się ku socjalizmowi, podobnie jak i pewne grupy młodszych profesorów i docentów. Znajduje to zawsze bardziej efektowny wyraz w Oxfordzie, niż w Cambridge, gdzie typ studenta jest znacznie powściągliwszy w uzewnętrznianiu swych uczuć i odnosi się z nonszalacją do pięknej frazeologji. Przed kilkudziesięciu laty pewien profesor z Cambridge tak scharakteryzował te różnice: „Utkani jesteśmy z grubszej tkaniny, niż oxfordczycy, którzy delikatnym, kobiecym głosem propagują idee rewolucyjne". Znane jest następujące porównanie obu typów: „Student z Oxfordu chodzi tak jak gdyby cały świat do niego należał. Student z Cambridge chodzi tak jak gdyby sobie gwizdał na cały świat". Pierwszy jest bardziej dynamiczny intelektualnie, drugi — bardziej statyczny, pełen zdrowego umiaru i „common sense"u. Lecz te różnice, a ściślej mówiąc odcienie, z biegiem czasu coraz bardziej się zacierają, i nie należy ich przesadzać.

John Stuart Mill dał w jednem ze swych studjów politycznych świetną analizę umysłowości angielskiej. Jej cechą charakterystyczną jest w przedewszystkiem kompromis. Idee i zasady realizowane są w Anglji w granicach bardzo umiarkowanych. Zawsze coś staje na przeszkodzie wyciąganiu z nich ostatecznych konsekwencyj. Tem „czemś" jest przyzwyczajenie. Stąd pewna rozbieżność pomiędzy zasadami a praktyką, która nie jest paradoksem, lecz stanem naturalnym angielskiej umysłowości politycznej. Anglicy czują się najlepiej w atmosferze fikcyj konwencjonalnych. Taką fikcją jest również ich monarchja konstytucyjna, — owoc kompromisu pomiędzy absolutyzmem a ludowładztwem, — w której król nie ma faktycznie żadnego wpływu na rządy. A jednak siła przyzwyczajenia każe Anglikom, i to najbardziej radykalnym, szanować tę starą instytucję narodową tak samo jak szanują oni inne odziedziczone tradycje.

Młodzież Oxfordu i Cambridge i wszystkich innych uniwersytetów, która wyrosła z jednego pnia tężyzny angielskiej, nie wahała się ani chwili, by stanąć do walki. Pośpieszyła ona na pierwszy apel, broniąc swego kraju, broniąc ideałów ogólnoludzkich, w których ją wychowano. „Oxford Boys" i „Cambridge Boys" rywalizują dalej między sobą — w walce z okrutnym wrogiem Anglji, który posługuje się nauką dla nasycenia swej żądzy panowania nad światem i swych barbarzyńskich instynktów.

FLORJAN SOKOŁÓW.

THE
RANDOLPH HOTEL
OXFORD

W czasie wojny jak w czasie pokoju Randolph Hotel stara się możliwie najlepiej obsłużyć swych gości

Tel. 2251

TRUST HOUSES LIMITED

Webbers
z
OXFORDU

gorąco zapraszają do obejrzenia najnowszych modeli dla pań i dzieci

Wspaniała kolekcja materjałów na suknie oraz na pokrycie mebli

ZAWSZE UPRZEJMA OBSŁUGA:
DZIEWIĘĆ–PIĘTNAŚCIE, HIGH STREET
Tel. 3145

ZBIGNIEW GRABOWSKI

POKŁON OXFORDOWI

To S., to the sun dancing in your unique eyes

Nie jest zbyt bezpiecznie powracać do miejsc związanych z naszą młodością. Sentymentalna pokusa okazuje się nader często okrutną pułapką: bo oto nagle znajdujemy się w potrzasku murów i wspomnień, ulic i myśli, znanych widoków i zapomnianych pragnień. Osacza nas przeszłość, naciera na nas, zagląda w oczy. I nie tylko ona, nie tylko mury, domy, płyty bruku; dosięga nas nie tylko zemsta martwych przedmiotów, ale i zemsta nas dawnych, nas innych. Z kamieniami, z otoczeniem, spoiły się jakieś tkanki naszych myśli, uczuć. Teraz, gdy depczemy nanowo po starych tropach, depczemy także po myślach, uczuciach. Podnoszą się one, wbite jak trawa między kamienie; nie sposób ich nie spostrzec, nie da się od nich uciec.

Niebezpiecznie jest wracać do miast naszej młodości, do miejsc bliskich nam z dawnych lat. Albo wyrastamy z tych miejsc i miast, jak z przykrótkiego ubranka, a wtedy napotyka nas najgorsze niezrozumienie — nie rozumiemy siebie samych. Albo to wszystko, oglądane nanowo, staje się dla nas nieustającym wyrzutem. Gdzież się podziały plany i zamiary buńczucznej młodości? Co się stało z tem wszystkiem co burzyło się wtedy, sięgało wysoko, może nadmiernie wysoko? Uciekamy z takich miast-świadków, miast-wyrzutów. Wyprawa w młodość zaprawiona jest goryczą.



OXFORD OD PÓŁNOCY

(New College, Merton, Music Room, All Souls, St. Mary's, Katedra, Radcliffe Camera, Bodleian, Schools Tower, Wadham)

sztych z r. 1849

Gdy wraca się do Oxfordu, gdy przemyka się jego ulicami — nie odczuwamy lęku człowieka ściganego przez siebie samego, przez swoje dawne ja, przez myśli swojego wczoraj. Do Oxfordu przyjeżdża się jak na dobre rekolekcje w ciszy, jak na niewiadomo czem zasłużony wypoczynek. Oxford nie jest wyrzutem, oskarżeniem rzuconem w oczy: jest nato zanadto opanowany, za dobrze wychowany. Ma w sobie raczej pobłażliwość stuleci, łagodność doświadczenia, uśmiech wiedzy.

To miasto jest jak studjum w spokoju, spokoju myśli i uczucia. Bez znajomości Oxfordu, bez pobytu w Oxfordzie niema mowy o znajomości Anglji. Aby rozumieć Anglję, trzeba pobłądzić wiele razy wokół kolegjów Oxfordu, spożyć kolację w refektarzu kolegjalnym, zapędzić się nad skręty rzeki Cherwell, przypatrzeć ludziom, którzy pochylają się nad pulpitami w Bodleian Library albo w Radcliffe Camera. Trzeba samemu spędzać godziny pod drzewami University Park, na trawnikach St. John's College albo Balliol College, trzeba kosztować chłodu bibljotek oxfordzkich w nagrzane lato; trzeba wypić niejeden kieliszek w chłodny wieczór w „The Mitre" i niejedną herbatę nad potokiem koło „The Trout". I wówczas poczynamy rozumieć coś z tej Anglji, która w Londynie, Manchesterze, Liverpoolu czy Newcastle zdradza nam jedno tylko swoje oblicze: komercjalne, poważne, zasępione dymami, mgłą — trzeźwe oblicze miejskiej Anglji, która straciła styl, poczucie piękna, urodę życia. Oxford pozwala nam spojrzeć w sedno Anglji dawnej, ale ciągle jeszcze żywej i aktualnej: Anglji troszczącej się o tradycję, Anglji hodowli człowieka.

Chodząc po Oxfordzie, tak jak chodząc po uliczkach Canterbury czy Salisbury, rozumiemy że podstawy Anglji są — albo były do bardzo jeszcze niedawna — średniowieczne. Nie tylko dlatego że nie stworzono nic piękniejszego w tym kraju od czasów kultury katolickiej, gotyckiego stylu i klasztornego pojęcia życia nauki. Oxford jest świadectwem, że piękno zrośnięte jest w tym kraju nierozdzielnie z katolicyzmem i że średniowiecze wysiliło się osobliwie w Anglji jeżeli chodzi o architekturę. Oxford jest dowodem, że klasztorne, kontemplacyjne pojęcie nauki przetrwało do dzisiaj dnia w protestanckiej Anglji.

Anglja, kraj gdzie przechował się najlepiej obyczaj feudalny, poczucie hierarchji klas, zrozumienie hodowli człowieka, pojęła szybko, że wychowanie jest przedewszystkiem pewnem subtelnem działaniem, poddaniem jednostki pod ucisk atmosfery, ujęciem człowieka w dyscyplinę, która emanuje z murów, z tradycji, z nastroju. Anglicy rozumieją, że ramy, forma, obyczaj są czynnikami wielkiej, przemożnej bodaj wagi. Rozumieją, że dla równowagi człowieka koniecznością jest nauczenie go zarówno perspektywy jak pokory, umiejętności spojrzenia na siebie, zdolności objektywizacji. Tego dokonywa właśnie Oxford, wychowawca osobliwy, ale napewno nie dla wszystkich znośny.

Oxford jest idealnym przykładem wychowywania człowieka pewnej kasty w przekonaniu, że przeznaczony jest on do wypełnienia szczególnej misji w życiu, że należy do klasy wybranej, że należy do pewnego wtajemniczenia. Wyłączność Oxfordu jest przywilejem, z którym Anglji będzie się bardzo trudno rozstać. Owszem, uznaje się powszechnie że zarówno typ „public schools" jak cech „old school tie" lub prymat uniwersytetów w Oxford czy Cambridge, muszą przejść do lamusa, ale dalej faktem jest, że ogromny odsetek ludzi, zajmujących najwybitniejsze stanowiska, przechodzi przez sito tych właśnie uczelni. Zakłady te nie są pomyślane jako przybytki nauki czystej czy ścisłej: są to raczej miejsca formowania i urabiania młodych natur, wielkie zakłady hodowli człowieka.

Anglicy zrozumieli wcale dobrze, że zasób wiedzy fachowej nie decyduje jeszcze o losach człowieka, że zapomina się niezmiernie szybko książkowych mądrości, czytanych łapczywie, zachłannie, zaborczo, w sposób właściwy młodości. Ulatniają się złośliwie cytaty, przepadają w zakamarkach pamięci tytuły książek, daty, zdarzenia. Ale nie zapomina się pewnych norm i karbów, wytycznych i manier, otoczenia i atmosfery. A ona właśnie żłobi, tworzy, modeluje w Oxfordzie.

Jest to wychowanie, chciałoby się rzec, ogrodnicze czy hodowlane. Anglicy wierzą w hodowlę. Pielęgnowanie trawnika, rozmiłowanie w rabatach kwiatowych, w rozłożystych, wiekowych drzewach, wyrasta z tej samej pasji dla tradycji, dla pochodu zjawisk, dla harmonijnego przechodzenia jednej fazy w drugą. Anglja jest krajem ewolucji a nie rewolucji, krajem, który dąży do załagodzenia konfliktów, uchwycenia namiętności w wędzidła. Wie ona, że proces tego okiełznania trzeba zacząć od młodu, kiedy siły te grają, kiedy ideałem nie jest harmonja, ale rozbrat, przeciwieństwa, skłócenie.

I tak wytwarza Oxford swoich ludzi, swoją kastę wtajemniczonych. Ich poczucie wyższości, arystokratyzmu, wyniesienia nad tłum, nie jest arogancją, nie jest ani pychą, ani wyzywającem samochwalstwem. Arystokratyzm oxfordzki jest starej daty, a zatem nie potrzebuje tych wszystkich pomocy. Polega on na głębokiem wewnętrznem przekonaniu, które nie szuka potwierdzenia czy uznania; Oxford uczy także pokory, otamowania ambicji. Jest to również szkoła spartańska. Zarówno Eton jak Oxford są zakła-

W Oxfordzie rób to co robi Oxford

Czytaj i ogłaszaj się w dziale ogłoszeniowym jedynych miejscowych pism Oxfordu

THE OXFORD MAIL
(gazeta wieczorna)

THE OXFORD TIMES
(tygodnik — co piątek)

THE NEWSPAPER HOUSE
OXFORD

FOREST LODGE
Hotel - pensjonat
wynajmuje pokoje na dnie lub tygodnie
London Road
HEADINGTON — OXFORD
pod zarządem pań Price & Kenyon
Tel: 61066

PAY A VISIT TO BELFAST LINEN WAREHOUSE Ltd 132 HIGH ST., OXFORD. TEL: 2985 HOUSEHOLD LINEN SPECIALISTS

najlepszym napojem jest piwo
NAJLEPSZEM PIWEM JEST PIWO
MORRELLA
Z BROWARÓW W OXFORDZIE

G. R. COOPER Ltd.
OXFORD'S HARDWARE STORE
ST. EBBES' CORNER
Phone 4125

Mr. A. CONWAY
F.B.O.A., F.S.M.C., F.I.O.
OPTYK DYPLOMOWANY
i
WYTWÓRCA OKULARÓW
OXFORD
23, GEORGE STREET
naprzeciwko New Theatre
tel. Oxford 4667

LAVALETTE Ltd.
6, George Street, Oxford.
Znana pracownia sukien
pod zarządem szwajcarskim, przy współudziale sił kontynentalnych
CHĘTNIE UDZIELAMY WSZELKICH INFORMACYJ

RESTAURACJA ANDERSONA
naprzeciw Nowego Teatru
ŚNIADANIA — OBIADY — KOLACJE
specjalne obiady „teatralne"
23B, GEORGE STREET, OXFORD
Restauracja: tel. 4488 Bar: tel. 3192

dami osobliwej, klasztornej niemal surowości jeżeli chodzi o wygody i t.zw. komfort. Chodząc po dormitorjach, jedząc w refektarzach kolegjów oxfordzkich, rozumiemy, że w prostocie warunków jest wyraźny cel wychowawczy.

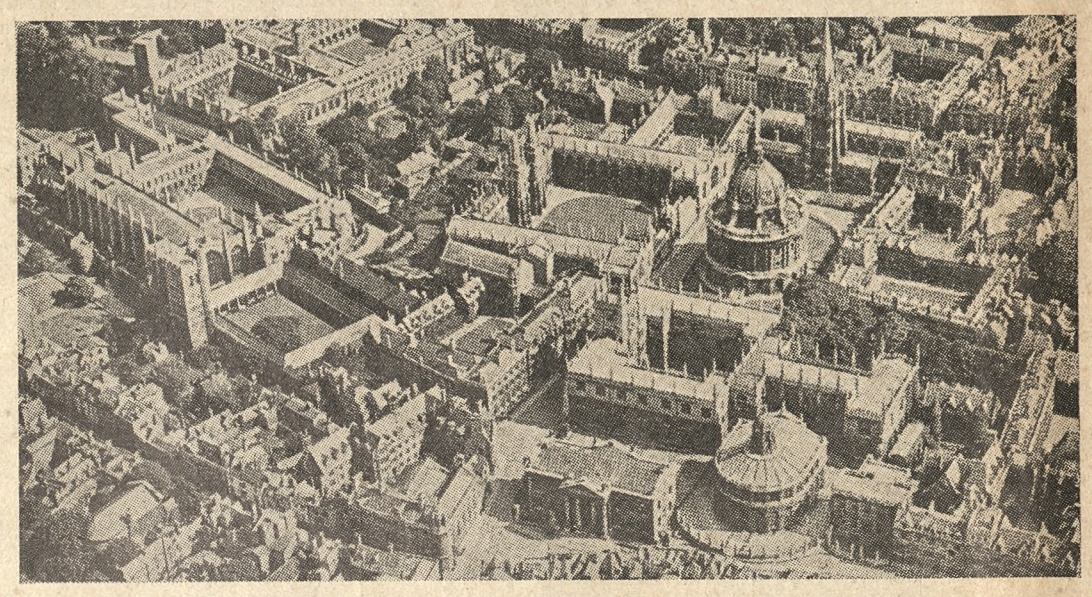
Zaczynamy lepiej rozumieć także ton, panujący w książkach autorów, którzy spędzili młodość w Oxfordzie. Rozumiemy lepiej tę melancholijną zadumę i ten stoicyzm, jaki wyziera z wielu kart książek angielskich. Stanie się dla nas wtedy bardziej zrozumiała i jasna proza Waltera Patera w jego „Marjuszu Epikurejczyku" i opanowany żar pism kardynała Newmana, twórcy „Oxford Movement". Pojmiemy wtedy również bunt młodego Shelleya, który zbiegł z oxfordzkiego klasztoru.

Chodząc nad brzegami Isis i Cherwell w letnie popołudnie, śledząc biało ubrane postacie krzątające się po trawniku University Park przy partji cricketu, patrząc na sennie sunące płaskodenne łodzie i „punts" na wodzie Tamizy, rozumiemy wymowę tej angielskiej Arkadji. Lenistwo zgoła włoskie przelewa się powietrzem, jakaś zwierzęca czy może nawet roślinna radość życia waży się nad wodą. Wyrośnięci doskonale chłopcy, zgrabne dziewczęta płyną w jakimś bezwładzie, w słonecznem otępieniu, po rzece, która nie zna prądu i nurtu. Niesie ich sam spokój, a może jakaś cicha umowa — pławią się oni nieświadomie w spokoju, wolni jakby od pokus, pragnień, żądz. Są bardziej podobni do greckich gimnastów aniżeli jakakolwiek młodzież Europy, zbliżeni do greckiego ideału spoczynku i odprężenia, harmonji i uspokojenia.

To jest owo animalne trwanie angielskie, to błogie nieróbstwo, ta kultura lenistwa, zamiłowanie do milczenia, które niepokoi i wytrąca z równowagi wiecznie węszącego człowieka kontynentu. W żadnym bodaj kraju Europy nie można oglądać tej rewji rozleniwienia, odprężenia, zadowolenia w spokoju. Rozumiemy, że i w tem jest myśl, cel, zasada: praca, nauka, wysiłek są napewno cenne, ale nie trzeba w nich przesadzać. Czy najpłodniejsze myśli nie nawiedzają nas właśnie w otoczeniu drzew i trawy, w szmerze rozgarnianej łodzią wody, w okapywaniu kropli z wioseł zawieszonych w błękitnie przedymionej przestrzeni, w półświadomości sennej, kiedy słońce kołuje pod powiekami wszystkiemi kręgami tęczy? Czy człowiek nadmiernie pochylony nad księgami nie staje się zbyt nieludzki, suchy; czy nadmierna praca nie budzi niezdrowych ambicyj; niepokoju, chęci przebijania się przemocą ku górze? Anglik uważa odpoczynek za przyrodzone prawo człowieka, za największe jego szczęście: praca w Anglji nigdy chyba nie będzie miała szans wyniesienia na piedestał heroizmu. Kult pracy napewno nie byłby w tym kraju dobrze widziany. Pośpiech także.

*

Wojna światowa wyszczerbiła poważnie blanki angielskiego feudalizmu. Wojna obecna dokona jeszcze większych wyłomów. Nie wiemy, jakie formy narodzą się w życiu Anglji powojennej. Nie wiemy, czy fala nie zagarnie wielu tworów Anglji wczorajszej, która z pasją, umiłowaniem pielęgnowała swoje trawniki, patrzyła na wzrost swoich drzew, hodowała udzi w murach swoich wszechnic. Nie wiemy.

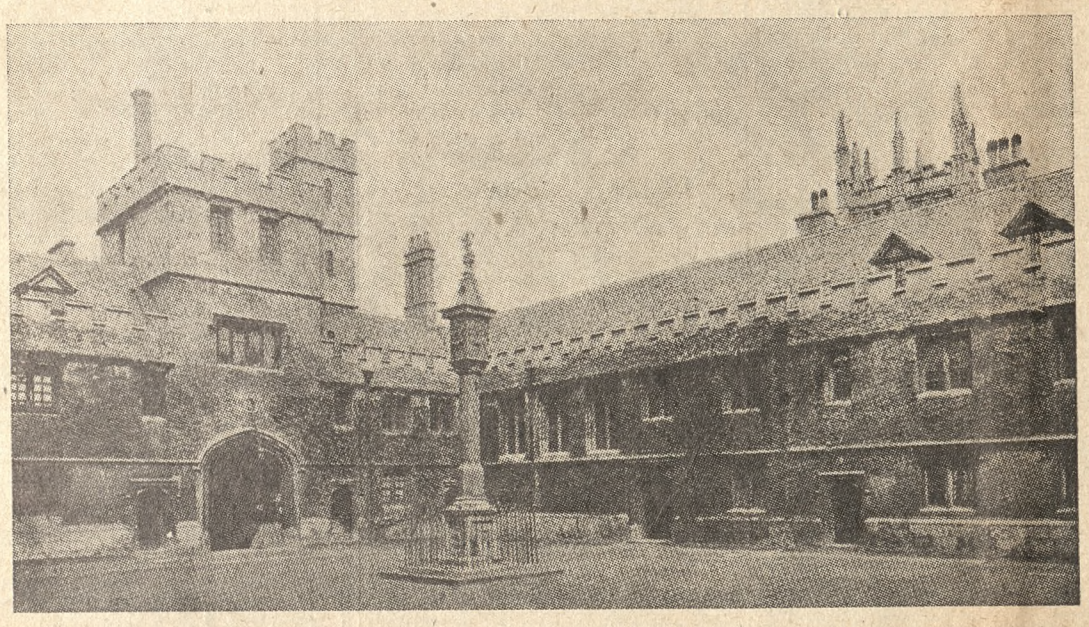


OXFORD
zdjęcie z samolotu

To jedno jest pewne, że jakakolwiek przyszłość czeka Anglję, tu właśnie, w Oxfordzie, tworzyła się w dużej mierze wielkość Anglji, tu dokonywała się ta selekcja kasty rządzącej, tu przesiewano przez sito młode ziarna, które paść miały na rozległe włości British Empire. Jeżeli Anglja powojenna uzna, że sito Etonu, Harrow, Winchesteru, Oxfordu, Cambridge nie jest wystarczające, że jest nieodpowiednie — przyjdzie zmiana. Wątpić jednak należy, by — naprzekór prorokom obiecującym nam radykalne, stanowcze posunięcia — zmiana ta była gwałtowna. Wątpić wolno, by opustoszały mury Oxfordu czy Cambridge, by miasta te poszły w zapomnienie. Zdolność do kompromisu, wiara w ewolucję form podsunie Anglikom myśl przerzucenia mostu między dawnemi a nowemi czasami, przystosowania Oxfordu do nowych potrzeb.

Nie należy przypuszczać, ażeby zamarły sale Oxfordu, chociaż wpływ tej wszechnicy może spaść, zmaleć, osłabnąć jeszcze bardziej. Oxford jest bowiem zakładem o zbyt dalekich tradycjach, zbyt wrósł w Anglję, w pojęcia i nawyki myślowe; Oxford wreszcie ma zbyt wielki udział w tworzeniu się idei gentlemana angielskiego, ażeby mógł zapaść się w niebyt. Tak, chodząc dzisiaj po Oxfordzie wojennym, Oxfordzie pełnym mundurów i przybyszów z różnych stron Anglji, Oxfordzie dalekim od zaciszności sprzed wojny, czujemy jakieś rozdwojenie: wydaje nam się chwilami, nam obywatelom znękanego kontynentu, gdzie zerwane zostały brutalnie wszelkie więzy tradycji, gdzie pozamykano wszechnice, gdzie stargano związki dawności — że ten Oxford jest jakby nieprawdopodobnym zabytkiem doby, która nie wróci, anachronizmem niemal spokoju. Że ten margines ciszy jest utrzymywany sztucznie, że nie ma on już prawa bytu w poprzewracanym świecie dzisiejszym, w świecie przesiedlań, wędrówki ludów, pośpiesznej, nerwowej zmiany map.

A jednak odruch taki, jakże zrozumiały, — cierpienie jest bowiem niecierpliwe i chciałoby, ażeby znane było wszędzie, — nie jest słuszny. Gdy powrócimy popołudniu nad Cherwell, gdy w wieczór o delikatnem niebie, zbryzganem gwiazdami, słyszymy odgłos własnych, a jakby cudzych kroków koło ‚Sheldonian Theatre', gdy przez woal mglistego powietrza majaczą nam rankiem korony drzew parku — czujemy, że jednak życiu naszemu konieczny jest ten rytm spokoju, to zachłyśnięcie się ciszą, ten przystanek skołatanych myśli. Że niema harmonji w człowieku bez owego przytłumienia namiętności, bez tego odprężenia w słońcu, bez zachwycenia się samem istnieniem. Rozumiemy, że takie miasta jak Oxford, takie twory jak Oxford, są czemś koniecznem, nieodzownem, bez czego myśl nasza, pragnienia nasze zajeżdżą się na śmierć w mechanicznej pogoni, strawią się, sczezną w ogniu. Rozumiemy, że nowoczesny kult pośpiechu jest groźny i zły, że niecierpliwość naszego wieku, krzykliwość jego, szybkość jego gonitwy nie daje jeszcze szczęścia, albowiem upojenie pędem nie może wyczerpać wszystkiego. Rozumiemy, że tajemnica życia polega na tym właśnie rytmie, który należy, musi się przychwycić: rytmie wysiłku i spoczynku, pasji i odprężenia, wołania i milczenia.



CORPUS CHRISTI COLLÈGE

*

Oxford jest miastem, do którego można i trzeba powracać. Bo nawet jeżeli napadną nas myśli o tych wszystkich niedotrzymanych wobec siebie samego obietnicach, o tych złamanych wobec siebie samego przysięgach, wszystko to przychodzi jakby przez odległość, przez uśmiech wyrozumienia. Tak, czegóż to nie pragnęliśmy dawniej, dawno, a jakby wczoraj? Jakież to kłębowisko myśli nie kołatało się w mózgu za dnia w chłodzie pracowni bibljotecznej i w nocy, kiedy od ogrodów pachniały laki i kiedy nie można spać, nie chce się spać? Nie chce się spać, ażeby nie uronić tych wszystkich obrazów, słów, myśli, co przewijają się przez głowę, ażeby nie przerwać tej opowieści o sobie samym, o świecie, o ludziach, jaką rozwiesza wyobraźnia. Nie chce się spać, ażeby nie spłoszyć wizji, która zbliża się i oddala, wabi i mami. Noce wydają się za długie, dni za krótkie dla objęcia życia, dla spełnienia tego wszystkiego co lęgnie się w ślęczeniu nad książkami, nad cudzemi słowami, myślami. Gdzież jest granica nas samych a tego co należy do innych? Czy myśli nasze są z nas, czy może są pożyczone, zagarnięte pokoleniom, ludziom, którzy myśleli podobne słowa, pisali podobne rzeczy, buntowali się przeciwko tym samym wieczystym nieporozumieniom?

Tak, nawet w Oxfordzie nie potrafimy uwolnić się od cienia naszego wczoraj — ale cień ten nie straszy nas. I Oxford nie zagląda nam inkwizytorsko w oczy; tłumaczy, że żadnej wiedzy wyczerpać się nie da, że szamotanie się w niepewności, że walka o niemożliwe musi być także przerwana dobrowolnem zawieszeniem broni. W czworoboku Brasenose College czy All Souls College przesuwają się togi i birety młodych chłopców — takich chyba jak my wczoraj. Może i oni myślą nasze myśli, gonią te same motyle, te same jętki-jedniodniówki? Może, a może napewno tak. Uśmiechamy się do naszego wczoraj. Ono nie umarło: jest i dzisiaj, będzie i jutro.

Nie wyczerpie się wiedzy zapylonej w szeregach ksiąg „Bodleian". I nie wyczerpie się piękna życia, cudu świata, który przeciąga się rozleniwiony nad brzegami Isis, podaje się oczom w przestrzałach University Park. Nie, ani jeden głód: głód wiedzy, ani drugi głód: głód piękna, nie może być zaspokojony. Trzeba to wiedzieć: w rozdarciu między temi dwoma głodami zbiega nasze życie.

Nie wiemy co stanie się z Oxfordem, tworem tradycji, studjum w spokoju; ale wiemy, że dla każdego kto chociaż na krótko przystanął w tem mieście, jest ono pożywnem przeżyciem, wezwaniem do harmonji, sprawdzianem wielu spraw. Przypomina się ono w hałasie i w rozgwarze, powraca wspomnieniem jak dobry, milczący towarzysz, jest czemś co koi. Nie wiemy, jakie będą jego losy. Ale w losach każdego Europejczyka, który zawędrował na wyspy brytyjskie, odegrał Oxford jakąś rolę, był mądrą chwilą, której mu właśnie brakowało. Albowiem Oxford posiadł tajemnicę ładu i dyscypliny, wciela piękno tradycji, wdraża w nasze myśli wyrozumienie, spokój, opanowanie. On sam może zniknąć, ale nie mogą z kultury ludzkiej zniknąć te zamyślenia i te dążenia, które zamieszkały w matowych murach oxfordzkich kolegjów.

ZBIGNIEW GRABOWSKI.



MAGDALENE COLLEGE



TOM TOWER, CHRISTCHURCH

MISCELLANEA OXFORDZKIE *)

Miejscowość, później nazwana Oxfordem, położona na uboczu od rzymskich traktów, nadawała się na osadę ze względu na swoje dogodne położenie obronne. Od brodu, który znaleziono na południe od pierwotnej osady, pochodzi nazwa miasta — Oxenaforda (Woli Bród).

*

Legendarna historja Oxfordu zaczyna się w w. VIII, kiedy w mieście osiada książę Didanus z żoną Safrydą i córką Frideswide. O rękę księżniczki ubiega się królewskiego rodu okrutny Algar. Księżniczka Friedeswide ucieka przed nim z dworkami do lasu. Zawiedziony Algar nadciąga z wojskami pod Oxford i oblega miasto ; w sprawę wdaje się Opatrzność, oślepiając Algara błyskawicą. Pełen teraz pokory Algar kaja się i przyrzeka poprawę, toteż za wstawiennictwem Frideswide odzyskuje wzrok, poczem wraca do swoich włości w pobliżu Leicester. Frideswide, zniechęcona do mężczyzn, funduje klasztor i zostaje jego pierwszą przeoryszą. (Na miejscu klasztoru stoi katedra oxfordzka.)

*

Początkiem historji pisanej miasta jest r. 912. Kroniki wspominają, że w roku tym ,,król Edward (starszy) objął w posiadanie Londyn i Oxford oraz wszystkie podległe im ziemie". Odtąd stale powtarzają się wzmianki o mieście, i wnosić należy, że znaczenie jego i dobrobyt stopniowo wzrastały.

W r. 1086 Oxford liczy 732 domy ale tylko 1000 mieszkańców, ponieważ blisko 500 domów, złupionych przez Normanów, stoi pustkami.

W r. 1157 urodził się najsławniejszy obywatel Oxfordu, król Ryszard Lwie Serce — rodzinne miasto nie uczciło go jednak ani jednym pomnikiem, placem czy budynkiem nazwanym jego imieniem.

*

Założenie cechów w połowie w. XII było niewątpliwą oznaką wzrastającego dobrobytu miasta. Swoje własne korporacje mieli szewcy, tkacze, rękawicznicy, cyrulicy, krawcy i nawet kucharze. Każdy król Anglji nadawał Oxfordowi nowe przywileje i dotacje — król Henryk II nadał w r. 1160 mieszczanom Oxfordu te same prawa, przywileje i swobody, z których korzystali mieszkańcy Londynu. Z tych też czasów pochodzi specjalny przywilej burmistrza Oxfordu : na każdym bankiecie koronacyjnym królów Anglji pełni on funkcje pomocnika podczaszego (assistant butler).

*

Już w roku mniejwięcej 1117 Teobald d'Etampes nazywa siebie Magister Oxenefordiae. Są dane, że prawnik włoski, Vicarius, wykładał prawo cywilne w Oxfordzie w r. 1150. Giraldus Cambrensis w ,,Rebus a se gestis" wspomina, iż w r. 1187 osobiście czytał swoją ,,Topographia Hiberniae" w Oxfordzie.

W pierwszej ćwierci w. XIII pojawiają się wzmianki o kanclerzu jako o głowie uniwersytetu. Pierwszy statut uniwersytecki datuje z r. 1231. Uniwersytet oxfordzki w organizacji swojej wzorował się niewątpliwie na paryskiej Sorbonie, wówczas przodującej uczelni w Europie, ale w w. XIV wyrwał Paryżowi palmę pierwszeństwa i zapanował nad miastem, które odtąd przez lat blisko pięćset stało się tłem i sługą przemożnej wszechnicy.

*

Pierwszy uniwersytet był zapewne zbiorowiskiem nauczycieli i studentów bez specjalnej organizacji czy władzy, ale o zakresie nauki szerszym niż w klasztorach czy szkołach katedralnych. W miarę powiększania się liczby studentów, nauczyciele zrzeszali się w cechu czy związku, który każdemu nowemu członkowi nadawał ,,licentia legendi" — prawo wykładania. Dalsze stadjum nastąpiło, gdy nauczyciele zawiązali korporację, z kanclerzem naczele — gdy, słowem, władze uniwersytetu ukonstytuowały się ostatecznie.

*

,,Magna Charta" za Henryka VIII nadała kanclerzowi uniwersytetu wyjątkowe prawa : mianowicie prawo jurysdykcji we wszystkich sporach, w których jedną ze stron był członek uniwersytetu. Jeszcze w r. 1886 kanclerz wyzyskał ten swój przywilej.

Nad kanclerzem uniwersytetu władzę miał tylko biskup diecezji, w tym wypadku — biskup Lincolnu. Ponieważ Oxford leżał w dalekim kącie diecezji, biskup rzadko się mieszał do spraw uniwersytetu.

Począwszy od w. XIII władza uniwersytetu coraz bardziej zaczyna ciążyć nad miastem. W r. 1333 np., po starciu studentów z mieszczanami, część studentów wyprowadziła się do Stamfordu i tam założyła sobie nową uczelnię ; uniwersytetowi oxfordzkiemu i miastu groziła ruina. Sprawa zaogniła się tak bardzo, że musiano się odwołać do króla, i dopiero interwencja królewska zmusiła ,,secesjonistów" do powrotu. Od r. 1335 do r. 1827 każdy student otrzymujący dyplom musiał składać przysięgę, że nie będzie słuchał wykładów w Stamfordzie.

Po rozruchach dn. 10 lutego 1354 r., kiedy to burda uliczna spowodowała prawdziwą walkę między ,,miastem" a ,,uniwersytetem", przedstawiciele mieszczan musieli co rok płacić 60 pensów grzywny. Trwało to aż do r. 1854.

*

W w. XIII uniwersytet kompletnie zorganizowano, pod koniec zaś tego stulecia wprowadzono system rozmieszczania studentów po kolegjach. W w. XVI uniwersytet omal nie uległ likwidacji za Henryka VIII — podczas fali reformatorskich zapałów tego monarchy, których ofiarą padły klasztory. Król zorjentował się jednak, że lepiej będzie pozyskać uczonych do walki z papieżem, przedzierzgnął się więc w protektora nauki. Za czasów królowej Elżbiety uniwersytet stał się po raz pierwszy w swoich dziejach ,,modny" — zaczęli nań uczęszczać synowie dobrych rodzin, którzy chcieli zrobić karjerę dworską czy polityczną.

W w. XVII absolwentami Oxfordu byli m. in. Sir Christopher Wren, budowniczy katedry św. Pawła w Londynie i jeden z najznakomitszych architektów Anglji, oraz Robert Boyle, słynny fizyk ; w w. XVIII — dr. Samuel Johnson, essayista, leksykograf i filozof, oraz John i Charles Wesleyowie, reformatorzy religijni, założyciele sekty metodystów. Wiek XIX i początek w. XX, to czasy reform wewnętrznych, z których najpoważniejsze są trzy : zniesienie greki jako obowiązkowego przedmiotu na uniwersytecie, dopuszczenie kobiet do studjów i do udziału w życiu uniwersyteckiem, oraz wyrzeczenie się niezależności (siedmiusetletniej!) przez przyjęcie subsydjum rządowego.

*

W średniowieczu kurs nauki na uniwersytecie trwał siedem lat do chwili otrzymania dyplomu magistra filozofji (Master of Arts). Kurs ten obejmował siedem sztuk wyzwolonych, podzielonych na trivium (gramatyka, logika i retoryka) oraz quadrivium (muzyka, arytmetyka, geometrja i astronomja), filozofję, języki (grecki i hebrejski — łacina była językiem wykładowym) i historję. Po tych pierwszych siedmiu latach student o większych aspiracjach mógł się poświęcić dalszym studjom — prawa, medycyny lub teologji. Po dalszych sześciu latach czekała go wielka nagroda — zostawał doktorem teologji (Divinity Doctor).

*

W najdawniejszych czasach Oxfordu studenci mieszkali w mieście, na stancjach, a nauka odbywała się w wynajętych salach, nieraz zaś pod gołem niebem. W miarę jak zwiększała się liczba studentów, nauczyciel wynajmował dom, w którym studenci mieszkali i słuchali wykładów. Budynki takie nazywano aulami akademickiemi (academical halls). W r. 1440 było ich 84. W okresie tym istniało już jednak dziewięć kolegjów, które się tem różniły od auli, że miały swój stały zarząd i stałe dochody, pochodzące przeważnie z fundacji.

Głową kolegjum jest ,,dyrektor", — nazywany dziekanem, mistrzem, rektorem, pryncypałem czy profosem, — który w dawnych czasach mieszkał w wieży nad bramą wejściową kolegjum ; ,,fellows", czyli członkowie zarządu kolegjum, są profesorami, wykładowcami, skarbnikami, bibljotekarzami i t.d. Dalej idą uczeni badacze (scholars), którzy podobnie jak dyrektor i ,,fellows" czerpią dochody z zasobów kolegjum. Studenci dzielą się na dyplomantów (graduates) i studentów pospolitych (undergraduates), z których połowa mieszka w kolegjach, studenci zaś 3-go i 4-go roku w licencjonowanych pokojach na mieście, w odległości co najwyżej 2½ mili od środka miasta, t.j. wieży Carfax.

Budynki kolegjum otaczają z czterech stron kwadratowy dziedziniec (quadrangle), porosły pięknie przystrzyżoną trawą. Każde kolegjum posiada własną kaplicę, halę jadalną, udekorowaną portretami donatorów, profesorów i wybitnych byłych studentów, oraz bibljotekę.

Przeszło dwadzieścia kolegjów oxfordzkich stanowi rdzeń uniwersytetu. Nie mogłyby istnieć bez niego — ponieważ nie posiadają prawa nadawania stopni naukowych. Z drugiej strony w obrębie własnych murów kolegja mają całkowitą autonomję, tak wielką, że np. ,,proctor" ścigający krnąbrnego studenta, nie ma prawa wstępu na teren kolegjum.

Do najstarszych kolegjów należą University College (założone w r. 1249), Balliol College (około 1256) i Merton College (r. 1264).

Osobliwością University College jest, że od r. 1686 miało własną swoją prasę drukarską i wydawało dzieła teologiczne. Studentów budzi co rano stukanie młota drewnianego o drzwi klatki schodowej.

Balliol College powstanie swoje zawdzięcza porywczości Johna de Balliol of Barnard's Castle. Pewnego dnia rycerz ten uwięził biskupa Durhamu. Potem skolei został przez tegoż biskupa osobiście wychłostany, a w dodatku zmuszony do założenia w Oxfordzie stancji dla 16 biednych studentów i wypłacania im po 8 pensów dziennie.

Celem Merton College było kształcenie kleryków ,,świeckich" (nie mnichów) w siedmiu sztukach wyzwolonych, a potem w teologji. Statut Merton College z r. 1274 był wzorem dla wszystkich kolegjów, tak Oxfordu jak Cambridge. Merton College posiada najstarszą w Anglji bibljotekę.

Queen's College (1341), ufundowany przez Roberta de Eglesfield, troskliwie podtrzymuje swoje przedziwne obyczaje. Głowa kolegjum — profos — zasiada pośrodku stołu, mając 12 ,,fellows" po prawej i lewej ręce (jak Chrystus z apostołami). Do posiłków wzywa jeszcze ciągle dźwięk trąby. W dzień Nowego Roku skarbnik wręcza każdemu z ,,fellows" igłę nawleczoną nicią jedwabną w barwach jednego z trzech fakultetów (teologji, prawa lub medycyny) i mówi : ,,Weź to i bogać się". Zwyczaj jest symbolicznem upamiętnieniem nazwiska fundatora, Eglesfield — po francusku ,,aiguille et fil".

Najsławniejszy jest ceremonjał wnoszenia głowy dzika podzas wieczerzy wigilijnej. Dzieje się to na pamiątkę spotkania jednego ze studentów kolegjum z dzikiem w lasach Shotover koło Oxfordu. Student na atak zwierza odpowiedział wepchnięciem mu egzemplarza Arystotelesa w paszczę. Dzik, któryby może przełknął przekład angielski, na okrzyk studenta : ,,Graecum est!", skurczył się i zdechł na miejscu. W Boże Narodzenie na salę Queen's College wkracza procesja, z profosem i członkami zarządu kolegjum na czele. Za nimi trzej ludzie niosą głowę dzika ważącą co najmniej 50 funtów, w wieńcu z wawrzynu, jałowca, jemioły i rozmarynu, udekorowaną małemi chorągiewkami. Śpiewają oni starą angielską kolendę.

Oba te zwyczaje świąteczne zdają się wskazywać, że Queen's College gościł przeważnie studentów z północnej Szkocji. Władze kolegjum starały się prawdopodobnie przysporzyć rozrywki tym którym trudno było wracać na święta do domu.

New College (1379 — a więc nie bardzo nowe!) ufundowane zostało przez Williama of Wykeham jako kontynuacja szkoły katedralnej w Winchester. Do obiadu wzywał tu nie gong i nie trąba, ale — do r. 1830 — dwaj chórzyści, którzy od bramy wejściowej poprzez dziedziniec szli, śpiewając : ,,Tempus vo-can-di à man-ger, o Seigneurs!".

Wśród ,,młodszych" kolegjów Oxfordu, t.j. tych, które powstały po r. 1400, jest kilka, mających tradycje bardzo osobliwe.

All Souls College jest np. stowarzyszeniem magistrów i doktorów i ma tylko czterech studentów, kleryków. Stworzone zostało dla uczczenia pamięci króla Henryka V i jego żołnierzy, poległych w bitwie pod Azincourt.

Bibljoteka All Souls, zbudowana w latach 1716–1756, mieści się w największej w Oxfordzie sali ; liczy 180 000 tomów.

Magdalen College (czyta się Maudlin — grzechem nie do wybaczenia jest wymowa fonetyczna, jeszcze większym — mylenie tego kolegjum z podobnem w Cambridge, które nazywa się Magdalene) jest najpiękniejsze w Oxfordzie. Ma własny park i zwierzyniec i słynie z dwóch rzeczy : co rok dn. 7 maja o godz. 5 na wieży kolegjum, chór śpiewa ,,Te Deum" po łacinie, a w dzień św. Jana, 24 czerwca, odbywa się kazanie na otwartem powietrzu — jeżeli pogoda sprzyja.

Brasenose College (Mosiężnego Nosa) nazwę swoją zawdzięcza starożytnej kołatce, która niegdyś zdobiła starszą od kolegjum aulę akademicką tej samej nazwy. Kołatka ta — przedstawiająca bardzo brzydką twarz o olbrzymim nosie — została zabrana z Oxfordu w w. XIV przez owych studentów którzy przenieśli się do Stamfordu. Dopiero w r. 1890 kolegjum kołatkę tę odzyskało : kupiło poprostu dom, na którego drzwiach wisiała przez 550 lat! Brasenose College bardziej niż z kołatki słynie teraz z rekordów sportowych swoich studentów, najlepszych w Oxfordzie wioślarzy i crickecistów.

Christ Church College, t. zw. Dom (the House), ma jedyny w swoim rodzaju zaszczyt posiadania katedry oxfordzkiej jako kaplicy. Katedra oxfordzka stoi bowiem na gruntach kolegjum, dziekan (dyrektor) kolegjum jest dziekanem kapituły, profesorowie kolegjum są jednocześnie kanonikami i połączenie to, nie do pomyślenia w żadnym innym kraju, w Anglji działa sprawnie i gładko. W Christ Church, w t. zw. Tom Tower, wisi słynny Tom, który co wieczór o godz. 9 zaczyna dzwonić; o godz. 9 m. 5, po jego sto pierwszem uderzeniu, zamykają się bramy kolegjów, i biada studentowi, który się spóźni! Goni go niemiłoiernie po ulicach ,,proctor" w towarzystwie swoich ,,buldogów".

Jesus College jest pierwszem protestanckiem kolegjum Oxfordu — założone zostało za czasów królowej Elżbiety.

*

Bibljoteka Bodleyańska składa się z 1 400 000 tomów, 40 000 rękopisów, około 20 000 zwojów starych aktów i dokumentów. Zaczątkiem jej była stara czytelnia uniwersytecka w w. XIV — duży pokój, w którym do pulpitów doczepione były na łańcuchach stare rękopisy czy biblje. W czasach reformacji większość tych rękopisów została zniszczona — uratowało się tylko 29.

W w. XVI Sir Thomas Bodley, wychowanek Magdalen College, poświęcił się kompletowaniu bibljoteki, i przykład jego podziałał tak zachęcająco, że odtąd książki płynęły nieprzerwanym strumieniem. Znaczny księgozbiór zapisał bibljotece Cromwell.

Do czasu założenia British Museum, Bibljoteka Bodleyańska była najpoważniejsza w Anglji. Obecnie, wraz z Muzeum Brytyjskiem, bibljoteką uniwersytetu w Cambridge i trzema innemi dzieli przywilej otrzymywania egzemplarza każdej książki, wydanej w Zjednoczonem Królestwie.

---

*) Opracowane na podstawie książki Falconera Madana ,,Oxford" (Oxford 1923).

ALBERT P.
GRAY
OPTYK
5, MARKET ST.
OXFORD

OXFORD PAMPHLETS
ON WORLD AFFAIRS
Each 32 pages 4d. net
Latest numbers
50. AMERICAN FOREIGN POLICY
by D. W. Brogan
51. NORWAY AND THE WAR
by G. M. Gathorne-Hardy
Ready shortly
52. BRITAIN'S FOOD IN WAR-TIME
by Sir John Russell
53. THE ARSENAL OF DEMOCRACY
by A. J. Brown
Others in preparation
Over 3 million copies have now been sold

THE WORLD TO-DAY
A new series of handy books on topical subjects
Illustrated 2/6 each net
U.S.A. by D. W. Brogan
AMERICA'S ECONOMIC STRENGTH
by C. J. Hitch
CANADA
by B. K. Sandwell
SOUTH AMERICA
by J. B. Trend
Others in preparatian

CETTE DRÔLE DE GUERRE
par René Balbaud
An account by a French infantry soldier of his experiences from mobilization until the evacuation from Dunkirk
3/6 net

Oxford University Press

Printed in Great Britain for M. I. Kolin (Publishers), Ltd.. by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, E.C.2.